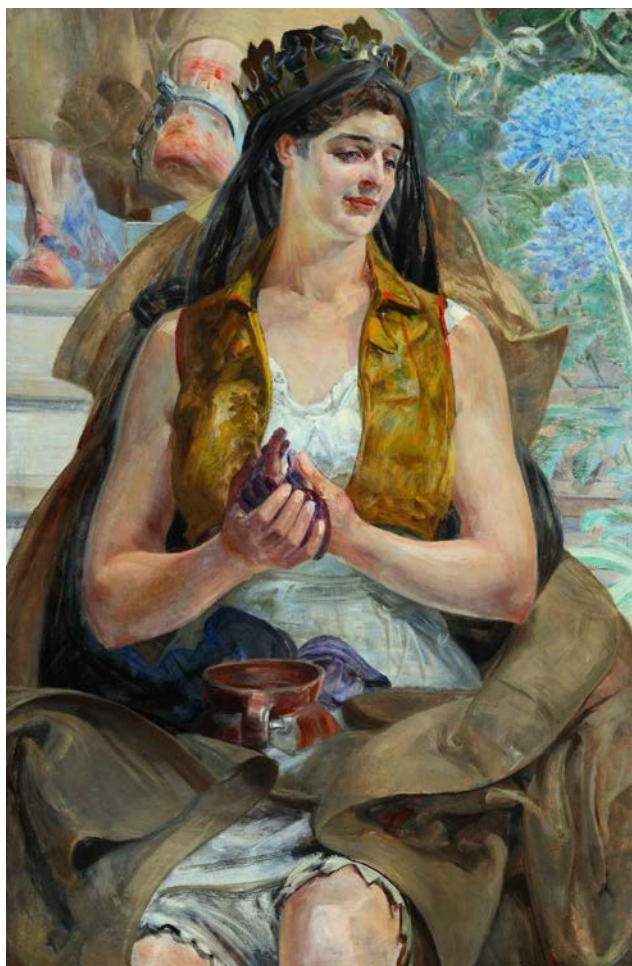


# FORUM 86

## MYŚLI WOLNEJ

Krakowski magazyn racjonalistów



JACEK MALCZEWSKI, *Polonia*

### **W numerze m.in.:**

- Tadeusz Żeleński-Boy, *Kariery*
- Krzysztof Woźniakowski, *Ironicznym okiem Hendrika Groena o religiach i Kościołach*
- Lesław Czaplński, *Kościelna umiejętność asymilacji*
- Danuta Stolarek, *Paweł I i jego dwór*



1 **OD REDAKCJI**

**TEMATY SPRZED LAT**

- 2 Piotr Augustynek, *Wstęp*  
3 Tadeusz Żeleński-Boy, *Kariery*

**MYŚLAĆ BELFREM**

- 7 Piotr Augustynek, *Garbaty patriotyzm*

**ETYKA DLA MŁODZIEŻY**

- 9 Józef Kabaj, „*Kłątwa*” Sokratesa?

**RELIGIOZNAWSTWO**

- 11 Krzysztof Woźniakowski, *Ironicznym okiem Hendrika Groena o religiach i Kościołach*  
16 Piotr Szydłowski, *Poprotestancki pietyzm*

**W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI**

- 23 Kazimierz Pasenkiewicz, *Wrzesień 1939 rok – Włodzimierz*

**FELIETONY**

- 29 Lesław Czaplński, *Kościelna umiejętność asymilacji*

**LITERATURA**

- 36 Marian Toporek, *Śladami Żeromskiego. Część I*  
47 Z WhatsApp'a (zamiast anegdota)

**SPACER PRZEZ HISTORIĘ**

- 48 Danuta Stolarek, *Paweł I i jego dwór*

**REFLEKSJE I KOMENTARZE**

- 62 *Rzeczpospolita pandemiczna*

63 **Z PORTALI INTERNETOWYCH**

**RADA PROGRAMOWA:**

prof. dr hab.  
Krzysztof Woźniakowski  
– przewodniczący Rady,  
dr Adam Bańdo – sekretarz Rady.

**Członkowie:**

prof. dr hab. Adam Chmielewski,  
prof. dr hab. Stanisław Ignacy Fiut,  
prof. dr hab. Jerzy Kochan,  
prof. dr hab. Jerzy Kornaś,  
prof. dr hab. Józef Lipiec  
dr Paweł Sękowski,  
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,  
prof. dr hab. Jan Woleński.

**ADRES REDAKCJI:**

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5  
tel. 12 423-50-16; 501 567 547  
e-mail: j.kabaj@wp.pl  
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

**Wydawca:**

Rada Wojewódzka  
Towarzystwa Kultury Świeckiej,  
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5  
[www.forummysliwolnej.pl](http://www.forummysliwolnej.pl)  
Dom Fundacyjny  
im. Lidii i Leona Świeżawskich

**Skład, łamanie i druk:**

Agencja Reklamowa Novum  
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8  
[www.novum.krakow.pl](http://www.novum.krakow.pl)

**ISSN 1507-4781, Index 325813**

---

## OD REDAKCJI

Są w obiegu społecznym takie wyrazy, które ostatnio robią oszałamiającą karierę i występują znacznie częściej, niż byśmy sobie tego życzyli.

Te dwa wyrazy to przyimki: PRZED i PO.

Przed pandemią i po wybuchu pandemii. Zdecydowany podział świadomości społecznej, zbiorowych zachowań, przemiana obyczajów, inne rozumienie pojęć, zda się podstawowych, takich jak wolność osobista, ograniczenie swobód itd. Jak widać na każdym kroku, nie są to sprawy proste. Ileż nieuzasadnionych emocji budzi choćby problem noszenia (lub nie) maseczek w miejscach publicznych. Ludzie w podeszłym wieku, bojąc się zakażenia, noszą maseczki, chociaż oddychać w nich nie jest łatwo. Inni – młodszy i o mniejszym poziomie empatii społecznej (i wyobraźni), wspierani przez tzw. antyszczepionkowców i (pozał się Boże) polityków gorąco protestują, przejawiają agresję, odrzucają argumenty naukowców. Ale czemu się dziwić w obliczu kuriozalnych wypowiedzi P. Dudy i P. Morawieckiego? Skoro oni tak mówią, to i mnie ogólny zakaz nie dotyczy...

Inny, trudny do opanowania etap przemian przeżywa szkoła. Zda się, nigdy już nie będzie tak, jak PRZED pandemią. PO pandemii przyjdzie nam zaakceptować edukacyjne procesy, zda się dotąd nierealne. A jednak...

Kultura także przeżywa trudne chwile. Jak przeżyją instytucje kultury, z samej definicji nierozłącznie związane z kontaktem z odbiorcą, widzom, słuchaczem, czytelnikiem? Czy nie byłoby słusznym wzięcie tych wrażliwych, a jakże ważnych dziedzin pod mądrą, powszechną opiekę?

Widzimy wyraźnie osuwające się w niebyt całe branże gospodarki, takie jak turystyka, hotelarstwo, transport lotniczy. Jak się w tym wszystkim odnaleźć? Czy najważniejsze są głupie spory i żenujące wojenki ludzi, którzy mają czelność mówić o sobie „my, politycy”? A może najlepiej będzie pozostawić samym sobie szaleńców piłujących pracowicie gałąź, na której siedzą? Niech im się wydaje, że są ważni. My zaś – po prostu róbmy swoje, jak apelował Mistrz Młynarski. Róbmy swoje (PRZED i PO) i starajmy się być przyzwoici.

RED.

Boy poruszał tak wiele tematów, kształtował opinie w tak licznych obszarach życia społecznego, że trudno znaleźć dziedzinę, w której nie wypowiedałby się - z właściwym sobie dystansem, czasem z sarkastycznym humorem, lecz zawsze celnie.

Jeden z tekstów naszego patrona, na który natrafiłem z niemałym zdziwieniem, nosi tytuł „Kariery”. Skąd moje zdziwienie? Stąd, że tekst pisany w roku 1931 wcale nie trąci myszką. Co prawda historyczny wymiar kariery lekarza okrętowego Lloyd'a, czy pana konsyliarza osłuchującego ponętne pacjentki przez jedwabną koszulkę, przestał być najważniejszy, ale i tak możemy znaleźć w tym tekście dowody na ostrość społecznych obserwacji Doktora i trafność jego ponadczasowych stwierdzeń. Boy zwraca uwagę na „otoczkę społeczną” towarzyszącą wyborowi kariery przez młodego, a za tym naiwnego (jakże często) człowieka. Przecież tak jak wtedy, dzisiaj większość młodych ludzi dokonuje wyboru swej drogi zawodowej co najwyżej intuicyjnie, po naciśnięciu środowiska, aby uczynić zadość tradycji rodzinnej, itd.

Fascynujące wydają się dane dotyczące karier młodych ludzi. Ilu z nich pozostaje wiernych raz wybranemu zawodowi? Dla ilu wykształcenie jest podstawową wartością, a dla ilu tylko niewiele mówiącym świstkiem papieru, jakim jest dyplom? Jak często zmieniamy pracę, porzucamy wyuczony zawód? Dlaczego dokonujemy takich, a nie innych wyborów? Czy kierują nami szlachetne, uczciwe pobudki, czy tylko prozaiczna żądza pieniądza? Czy chcemy być społecznie użyteczni (wielu uzna to za idealistyczny bełkot), czy za każdą cenę COŚ ZNACZYĆ. Nieważne za jaką cenę, byle tylko ZNACZYĆ. Byle mieć władzę, wpływy, pieniądze... Postanowiłem zajrzeć do Słownika Wyrazów Obcych PWN (Wydanie nowe, Warszawa 1995). I co tam znalazłem?

„Kariera 1. Zdobywanie coraz wyższych stanowisk w pracy zawodowej, naukowej, społecznej itd.

2. osiągnięcie jakiegoś celu zapewniającego dobre widoki na przyszłość; dobra pozycja życiowa.

3. przebieg pracy zawodowej człowieka w ciągu jego życia. (niem. „Karriere”, z fr. „carrière” – galop, wł. „carrira”, w końcu od łac. „carrus” – wóz).

Wyjaśnienie znaczenia naszego kluczowego wyrazu zda się kompletne. Wiąże się z pozytywnymi określeniami, jak praca, zawodowstwo itd. Słowem: ma wydźwięk jak najbardziej mobilizujący, pożądany, poważny. Czy jednak na pewno?

Jakie jest polskie „naddane” znaczenie rzeczownika „kariera”? Czy zawsze pozytywne?

W niektórych społeczeństwach zwrot „robić karierę” jest czymś naturalnym, normalnym, pozytywnym.

A wśród naszych rodaków? Jeżeli ktoś robi karierę, to zapewne nieuk, krętacz, szemrane indywiduum. Nic tak nie umniejsza pozycji człowieka, jak określenie go mianem „karierowicza”. Uruchamia się polskie piekielko. W polskiej zbiorowej wyobraźni rzadko kiedy istnieje wyobrażenie kariery jako czegoś uczciwego, zasłużonego, wypracowanego. Dlaczego tak jest? No, cóż – zbiorowe doświadczenie, obserwacja tego, co się z nami dzieje w obliczu cudzej kariery, życie polityczne wreszcie, wiele mogą nam wytłumaczyć.

A tak w ogóle – znowu Boy miał rację.

## KARIERY

Wśród materiałów do historii dawnego Krakowa, które gromadzą mi się na wół mimo woli, często uderza mnie jeden rys, związany ze sprawą ogólniejszego znaczenia, mianowicie wpływu warunków naszej przedniepodległościowej egzystencji na osobiste życie jednostek. Byłby to ciekawy rozdział z nie napisanej dotąd „patologii życia prywatnego” w okresie niewoli. Zwykle kiedy się myśli o niewoli, myśli się kategoriami mniej lub więcej wzniosłymi, ale ogólnymi. Myśli się o tym, co ucierpiał naród, mniej zaś



Bolesław Wieniawa- Długoszowski

o tym, co i jak ucierpiał powszechnie życie poszczególnych ludzi, spożytkowanie sił, talentów – a tym samym znów naród.

Na przykład wzór kariery. Nie trzeba chyba wskazywać, jak ważną jest to sprawa dla każdego. Imperatyw powołania może być wręcz silniejszy od nakazów narodowych, aby wspomnieć tylko najświetniejszy przykład – Conrada-Korzeniowskiego. Ale nawet dla skromnych pracowników sprawa pokierowania życiem, zgodność warsztatu pracy z talentem i upodobaniami jest rzeczą arcyważną. Znaczna doza ludzkiego szczęścia zależy od tego, aby właściwości charakteru, zalety, a zwłaszcza przywary człowieka pokrywały się z wykonywanym zawodem.

Niemniej ważne jest to z punktu widzenia społecznego. Nie istnieją bezwzględne wartości ludzi. Jednostka, mało warta lub szkodliwa na pewnym miejscu i w pewnych warunkach, może być użyteczna, a nawet cenna w innych i – odwrotnie. Im większa

ilość ludzi źle dopasowanych do swego zawodu, tym większe marnotrawstwo sił.

Otóż zaledwie trzeba przypominać, w jakim stopniu ograniczony i wykrzywiony był wybór drogi życia w epoce niewoli, ile karier było zamkniętych. Nie tylko wprost, ale i pośrednio: przez zwężenie horyzontów, przez zatamowanie naturalnego krążenia soków. Ktoś, dajmy na to, miał wybitne zdolności naukowe w Warszawie, gdzie nie było polskich katedr, ktoś inny miał zdolności handlowe w Krakowie, gdzie nie było handlu – i co z nich? Każda z na-

szych stolic była kaleką pozbawioną ważnych organów.

To są rzeczy aż nazbyt zrozumiałe, gdy chodzi o zabór rosyjski lub pruski, ale chciałbym zwrócić uwagę na paraliż życia w dawnej Galicji, gdzie na pozór wszystkie drogi były otwarte, gdzie była niby to swoboda. W rzeczywistości było tam niemal gorzej niż gdzie indziej. I dziś, gdy patrzę na to z oddalenia, uderza mnie to straszliwe zmarnowanie sił.

Kiedy się dzisiaj rozejrzeć po naszym społeczeństwie, widzi się ogromną ilość zawodów, o których się dawniej prawie nie śniło. Człowiek może zostać marynarzem, aktorem i reżyserem filmowym, zawodowym sportowcem wszelkiej kategorii, instruktorem wychowania fizycznego, konsulem lub urzędnikiem emigracyjnym, podróżnikiem, dyplomatą, szefem protokołu, żandarmem, senatorem, tancerzem – sto innych jeszcze. Niektóre z tych zawodów (sport, radio, film) związane są ze

zdobyciami epoki, ale większość mniej lub więcej ściśle wiąże się z pełnią naszego bytu politycznego. I sądzę, że aby fanatycznie przywiązać się do naszej państwowości, trzeba im uprzytomnić, co każdy z nich zawdzięcza jej osobiście, ile zyskał na właściwym wyborze kariery. Kto wie, czym byłby Dymsza, gdyby nie było „Qui pro Quo”? Może zbrodniarzem?

Otóż przed młodym człowiekiem, który skończył gimnazjum w Krakowie, otwierały się właśnie trzy drogi: filozofia, prawo i medycyna. Wygląda to wspaniale: 1/3 ma zgłębiać tajniki bytu, 1/3 stanowić prawo, 1/3 leczyć tamte dwie trzecie. W istocie przedstawiało się to mniej bogato: „prawo” – to była przede wszystkim hodowla urzędników; „filozofia” – szkółka nauczycieli gimnazjalnych. A medycyna? Właśnie o medycynie chcę mówić, gdyż ona była ciekawym symptomem „patologii życia codziennego”.

Medycyna jest to kariera bardzo pożyteczna, o dość skromnym (zwłaszcza w przedwojennej Galicji) zasięgu możliwości. Czytałem w jakimś studium o medycynie we Francji, że do zawodu tego kieruje tam synów przeważnie drobne mieszczaństwo dla ambicji. W Krakowie dobór ten odbywa się inaczej. Medycyna – był to powszechny rezerwuar dla wszystkich niespokojnych duchów, zarazem dla wszystkich, którzy... nie szli na prawo i na filozofię. „Prawo” to była cyfra wiadoma: cztery lata obkuwania pandektów i kodeksów, skromna kariera urzędnicza z wiadomymi z góry szansami awansu, „poborów” etc., z całą zależnością i ograniczeniem horyzontu. Filozofia – profesura gimnazjalna w IX randze, po dwudziestu latach ranga VIII, na szczycie marzeń dyrektura gimnazjum gdzieś na prowincji. I tu, i tu – nic dla fantazji. Otóż jedynym „X”, jedynym ekranem dla mirażów, które tworzyła sobie wyobraźnia, była medycyna. Już sam sposób nauki jakże był inny! Tamte wydziały – to po prostu

dalszy ciąg gimnazjum, książki i skrypta, tutaj kościotrup w pokoju, ku przerażeniu kuzynek, krajanie trupów, wdzieranie się skalpelem w sam rdzeń istnienia... Mały Faust. Pozytywizm podawał tu sobie rękę z romantyzmem.

A przyszłość, a widoki? Ileż tematu dla półświadomych rojeń! Ambitny mógł marzyć, że znajdzie lekarstwo na raka i stanie się dobroczyńcą ludzkości. Społecznik (dr Judym!) marzył o reformach socjalnych, chłopak nieśmiały, a zmysłowy – o wytwornych panienkach, które będzie w swoim gabinecie auskultował przez jedwabną koszulkę... A chirurg! Cóż za wspaniała kariera: ocala życie młodej milionerce, która połknęła brylantowy guzik, i zaślubia ją. Gdy prawnik lub nauczyciel przykuci są do taczki, lekarz (o siło złudzeń) ma cały świat otworem: Cejlon czy Jawa, gdzie zbija w kilka lat majątek na tłumieniu żółtej febry; może być lekarzem marynarki i objechać cały świat albo zostać lekarzem kąpielowym w Krynicy i też ob... Przepraszam, wyrwało mi się.

Był to wydział najliczniejszy i najbardziej ożywiony. Gdy młody prawnik był to grzeczny i praktyczny młodzieniec, który szedł prosto do skromnego celu, zdawał sobie sprawę z oprocentowania każdego roku pracy, ze znaczenia stosunków i protekcji, medycy był to żywioł buńczuczny, niepodległy, urozmaicony. Pracy było mnóstwo, ale to nie przeszkadzało, że medycy szumieli po knajpach i komersach, byli postrachem domów publicznych, medycy najczęściej się pojedynkowali. Mnóstwo cech szlachetczyzny – znów osobliwy paradoks – znajdowało upust na tym (zdawałoby się) najbardziej mieszczańskim fakultecie.

Ale rozdzwięk pomiędzy romantyzmem założeń a rzeczywistością musiał się ujawnić. Idiotyczny wówczas program studiów zniechęcał na samym wstępie wielu, przeciwstawiając młodym entuzjastom egzamin – z mineralogii! Nauki

pamięciowej było więcej niż gdzie indziej; w osteologii, bracie, nic nie wykombinujesz, trzeba wykuć! Prosektorium – to próba nie demonizmu, ale pedantycznej cierpliwości. Pamiętam, jak młody poeta – uważał swoją medycynę jako pierwszy rozdział „wiedzy o człowieku”, dziś jest dentystą we Lwowie – Kazimierz L.\*, typowy medyk z romantyzmu, wchodził do prosektorium w monoklu, w cylindrze, w opiętym dandysowskim paltociku, z laską prostopadle tkwiącą w kieszeni; wchodził, nie rozbierał się, stawał przed trupem i mrucał jakiś wiersz Baudelaire’a. Ale to niestety nie wystarczyło: trzeba było zawiązać rękawy i przypiąć się na całe tygodnie do preparowania trupa, który rzadko był trupem młodej i pięknej kobiety, jak stałe bywa w powieściach.

W rezultacie na żadnym wydziale tyle młodzieży się nie wykolejało, co na medycynie. Studium samo w sobie nielekkie, dla wszystkich tych, którzy obrali je z fałszywej wokacji, było czymś wściekle ciężkim. „Żelazny medyk”, siedzący na medycynie – bodaj nominalnie – po dzieśnięć i piętnaście lat, był specjalnością tego wydziału. Wiele w ogóle nie kończyło studiów.

Utkwiły mi w pamięci dwa rysy dość charakterystyczne. Rozejrzałem się raz po speluncie, gdzie grało się w hazard: na dwudziestu graczy było z osiemnastu medyków, mnie lub więcej „żelaznych”.

Drugi symptom, pozornie zgoła innego gatunku. Upadało z braku funduszków „Życie”. Przybyszewski szukał gorączkowo kogoś, kto by je podparł. I znalazł kolejno trzech ideowych „redaktorów”, z których każdy zafundował po kilka numerów. Otóż wszyscy trzej – to byli żelazni medycy.

Te dwa zjawiska – bak i sztuka – pozornie nic nie mają ze sobą wspólnego, w gruncie bardzo wiele. To dwa przejawy owego romantyzmu, który pchał młodych ludzi na medycynę, bez wielkiego związku z ich istotnym powołaniem.

Sporo mogła się przyczynić do nieporozumień i fałszywa literatura. Gdy we Francji nadmiernej idealizacji zawodu lekarza przeciwstawiłyby się z uśmiechem tradycje molierowskie, u nas zawód ten z dawna symbolizował kapłaństwo społeczne, połączenie wiedzy, bezinteresowności i cnót obywatelskich. Bo u nas pozytywizm był tylko formą romantyzmu. W powieściach z pewnej epoki lekarz ma zawsze złote okulary, kosztowne futro, wysiada z karety, aby odwiedzić biedaka na poddaszu, nie przyjmuje honorarium, jeszcze wciska w rękę parę rubli na lekarstwo i przysyła z domu flaszkę starego wina. Za co je kupuje – nie wiadomo. O realnej stronie medycyny, o jej małostkach i zabiegach, goryczach, zawodach i upokorzeniach – nie wiedziała literatura nasza nic. Pamiętam, jak piorunujące wrażenie wywarł przekład rosyjskiej książki *Zwierzenia lekarza* Weresajewa przez swoją skromną prawdę.

Jeden zwłaszcza utkwiał mi w pamięci przykład kontrastu między rojeniami a realizacją. Był student medycyny, starszy znacznie ode mnie, ciężko przebijający się przez życie, ale pełen animuszu i humoru, zdolny i inteligentny, z temperamentu zresztą typowy szlagon. Miał lat ze trzydzieści, bo parę stracił wprzód na wydziale prawnym, który porzucił; spieszył się ze studiami, bo z dawna był zaręczony z młodą panią. Był korepetytorem mego młodszego brata, nazywał się Stach Szczytnicki – może go kto z kolegów pamięta? Jakże bym go zapomniał! To on głównie spowodował, że wstąpiłem na medycynę. Tak dosadnie wyrażał się o wszystkich „metafizykach” (termin najwyższej wzgardy, którym ten pozytywista obejmował wszystko, co nie było „przyrodą”), tak ciepło umiał opiewać piękno medycyny, za mnie, hamletyzującego wówczas młodego durnia, zdecydował. Po latach, bawiąc przejazdem w Trieście, odszukałem „Szczyta”, który tuż po

doktoracie został lekarzem austriackiego Lloyd\*a, aby się ożenić wreszcie po wieloletnim narzeczeństwie. Wiódł w Trieście życie biedaka, przerywane dłuższymi lub krótszymi podróżami, rozpaczliwą roślinnością na okręcie. Przerażony byłem jego widokiem: ruina człowieka. Co jakiś czas zniknął i wracał dziwnie podniecony. Zorientowałem się niebawem: morfinista w ciężkim stadium, przyznał mi się sam zresztą. Niedługo potem dowiedziałem się, że zmarł w czasie podróży: ciało jego – według marynarskiego rytuału – wrzucono do morza gdzieś na oceanie. Tak wyglądał bilans jednej z powabnych karier lekarskich.

Nie znalazłem ludzi bardziej znudzonych swoim rzemiosłem niż lekarze marynarki. Przeważnie ciułałi swoje skromne grosze, aby po odświadczeniu kontraktu mieć punkt zaczepienia. W czasie podróży często nie wysiadali na ląd – dla oszczędności. Traktowali to jako katorgę. I ten morfinizm nie był przypadkowym zjawiskiem, raczej zasadą czyhającą na młodych studentów medycyny, a wpadali w nią właśnie owi romantycy lewatywy. Proszę sobie wyobrazić dyżur w szpitalu: w powietrzu smutek i nuda, flaszeczka morfiny w szafce pod ręką, pokusa rozkoszy, o której się tyle słyszało, owoc zakazany... Przy tym nawyk – niemal obowiązek – studenta-przyrodnika do eksperymentu, ciekawość poznania wszystkiego... No i atmosfera epoki: „dekadentyzm”, „choroba woli” należały wówczas do dystynkcji umysłowej; czytało się *Paradis artificiels* i *Modlitwę do opium* Quinceya\* (O juste, subtil et puissant opium\*) i *Hymn do Nirwany* Tetmajera... Nieraz słyszałem ten pewnik, że kto jeden jedyny raz zastrzyknął sobie morfinę, ten już przepadł, już go nie wypuści. Sądzę, że to przesąd, ale pamiętam wśród kolegów sporo ofiar tego nałogu. Wielu z „romantyków medycyny” po prostu się

zapiło, sporo wreszcie samobójstw – więcej niż w innym zawodzie.

Wszystko to, to tylko jeden kącik sprawy, o której dużo byłoby do mówienia. Swojego czasu w jednym z artykułów (*Szkic do bilansu*) obliczyłem pobieżnie stały ubytek sił żywotnych, wynikających z niego, nie przerywanej u nas emigracji wszelkiego autoramentu; a oto drugie źródło tego ubytku, z pewnością nie mniej ważne: strata spowodowana przez to, że mnóstwo ludzi dawało z siebie nie to i nie tyle, ile dać mogli przez niedostateczne zróżnicowanie ówczesnych karier. Nie zorientowani w sobie, wybierali byle jak, męczyli się, wykolejali się lub wegetowali, niezadowoleni ze świata, często nie wiedząc nawet, co im dolega. Jak tamten szkic, tak i te rozważania budzą we mnie wnioski na wskroś optymistyczne: jakże piękna przyszłość nas czeka, gdy ta olbrzymia ilość sił, marnowanych wprzód, a obecnie mających tyle sposobów wylądowania, znajdzie właściwą transmisję.

Symbolem przejściowej epoki jest ów doktor medycyny\* który poprzec okulistykę, ziemiaństwo, malarstwo i poezję doszedł do pułku szwoleżerów. Strach pomyśleć, czego by dokonał w świecie, gdyby był zaczął wprost od szwoleżera... □

1931

---

- Kazimierz L. – Lewandowski; ogłosił m. in. zbiorowy wiersz *Szella* (1893), *Lais* (1900), wielki poemat erotyczny *Korale Łady* (1932) i wspomnienia pt. *Przedwiośnie Młodej Polski* (1935)

- Lloyd – właściciel Corporation of Lloyd's, angielskie zjednoczone towarzystwo ubezpieczeniowe o międzynarodowym zasięgu,

- *Les para dis artificiels* – utwór Baudelaire'a (1860) o wrażeniach doznanych po zażyciu wschodnich narkotyków,

- O juste ... (fr.) – O sprawiedliwe, subtelne i potężne opium

- Doktor medycyny – Bolesław Wieniawa-Długoszowski; później był generałem brygady, ambasadorem w Rzymie.

PIOTR AUGUSTYNEK

## GARBATY PATRIOTYZM

Jednym z głównych zadań wychowawczych szkoły jest kształtowanie postaw patriotycznych. Niezależnie od warunków społecznych i politycznych, każde społeczeństwo uznaje konieczność ukształtowania postaw młodych obywateli (a przydałoby się starych też) w duchu dumy narodowej, szacunku dla symboli, budowania wspólnego bytu państwowego. Słowem realizacji idei wspólnoty narodowej. Jak na razie brzmi całkiem dobrze, prawda?

Gdy jednak przyjrzymy się bliżej temu, co dzieje się w Najjaśniejszej RP w sferze wspólnych wartości, odczuwamy istotny kłopot z odpowiedzią na proste pytanie: CO TO JEST POLSKI PATRIOTYZM I JAK O NIM ROZMAWIAĆ W SZKOLE?

Okazuje się, że jest to zadanie karłowate. Polska rzeczywistość społeczna polega bowiem na mechanizmie wrogości, stygmatyzacji i wykluczenia. Już dawno nie ma jednego patriotyzmu, pojęcie ojczyzny co innego dla różnych ludzi znaczy. „Mój patriotyzm jest najprawdziwszy. Ja jestem jedynym PRAWDZIWYM Polakiem, a „Oni” to jakaś hołota, zdrajcy, degeneraci, a więc trzeba ich zwalczać, za wszelką cenę”.

Tak w skrócie można streścić nasze wewnątrznarodowe podziały. Jak biednemu uczniowi wskazać to, co winien czuć i cenić? Wystarczy bowiem, że dokonamy przeglądu postaci, które na przestrzeni wieków miały istotny wpływ na losy Polski, a pocujemy się zdezorientowani. Otóż bowiem ktoś wybitny, zda się

autorytet nie do podważenia, z różnych przyczyn nie spodoba się aktualnie rządzącym. Najczęściej z powodu niskiego poziomu „naszości”. I już po dotychczasowym autorytecie nie zostało ani śladu. Okazuje się, że furda zasługi, wiedza, talent, szacunek międzynarodowy. „Ten pan” i „ta pani” już nic nie znaczą, a ci, dla których stanowili autorytet, to nieprawdziwi Polacy, którymi trzeba się brzydzić. Fakt taki nie przeszkadza innemu ugrupowaniu prawdziwych Polaków twierdzić, że i ci i tamci to jedna banda zdrajców, a ich autorytety są w najlepszym przypadku wątpliwe. Wątpliwe, bo nie nasze. I tak trwa obłąkany taniec w poszukiwaniu choćby jednego autorytetu. Takiego, którego nikt nadmiernie nie ozłoci, ani nikt wściekle nie opluje.

Nasi uczniowie nie chcą uczestniczyć w takim nauczaniu o patriotyzmie. Szkoła im na to czasu. Co więcej – już dawno uczniowie zdali sobie sprawę, że budowanie autorytetów w oparach zatęchłej nienawiści nie ma sensu.

Wniosek nasuwa się aż nadto wyraźny: jeżeli do budowy własnego, miłego nam autorytetu koniecznie musimy mieć wroga, to cała ta budowa jest funta kłaków niewarta. I tak zamiast orlich skrzydeł rosną nam garby.

Przypomniał mi się wiersz Stanisława Jerzego Leca (1909-1966), wybitnego satyryka, znawcy duszy polskiej, autora wspaniałych aforyzmów. Niech ten tekst (ciągle aktualny) posłuży za ilustrację i za swoiste *memento*:

## O satyrze

Czytałem im krwawe satyry,  
szyby dźwięczały z zachwytu,  
brawa jak dzwony biły,  
tynk śnieżył z białego sufitu.

Kiedy czytałem o głuchych,  
walili garbaci brawa.  
Jąkałam pękały brzuchy,  
gdy pasy z kulawych rwałem.

Obślinił się śmiechem krótkowidz  
nad dolą epileptyków,

a głuchoniemy rządowiec  
aż się zasmarował z zachwytu.

Bezręcy a jednonodzy  
donośnie sąsiadów kopali,  
gdy dowcip w eunuchów godził.  
Wiatr śmiechu hulał po sali.

Z mgłą ranną nadpłynął koniec.  
Wyszedłem w oparach chwały.  
I wieniec zdjąłem ze skroni,  
I długo, długo płakałem.

*grudzień 1937*



## SANEŻ DOKŁ?

### MIGRENA

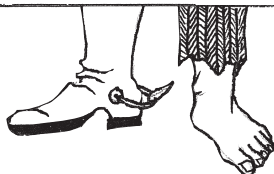
Król Ludwik XIV wezwał któregoś dnia kardynała Mazarina, aby omówić z nim ważne sprawy. Kiedy jednak kardynał przyszedł, nie dopuszczono go do króla, oświadczając, że ma migrenę. Przyjęto go dopiero następnego dnia.

- Jak migrena Waszej Wysokości? – zapytał wtedy kardynał.
- Już mnie opuściła – odrzekł król.
- Tak, rzeczywiście, widziałem ją, jak opuszczała Jego Wysokość. Bardzo ładna...
- dodał kardynał.

### PIEKŁO

Księżę Orleanu i zwolennik Rewolucji Francuskiej Ludwik Filip Orleański odwiedził umierającego księcia Talleyranda i zapytał go:

- No, jak się księżę czuje?
- Ach, sire, cierpię męki piekielne!
- Już teraz? – zdziwił się Ludwik Filip.



JÓZEF KABAJ

## „Klątwa” Sokratesa?

A gdzie sąd nad nim? Skazanie, którego wstydzili się Ateńczycy już w tym samym pokoleniu, które wydało na niego wyrok śmieci?

Już nie pamiętam, który to raz wystąpię w Jego sprawie. Jako w pełni wykształcony filolog klasyczny (studia latynistyczne i hellenistyczne, magisterium po łacinie), uczeń takich autorytetów jak – bezpośrednio – prof. prof. Tadeusz Sinko, Jan Safarewicz, Władysław Strzelecki, Władysław Madyda, Tadeusz Milewski, Adam Heinz; a pośrednio przede wszystkim: Ryszard Gansiniec i jego mistrzowie (m.in. Tadeusz Zieliński czy Ulrich von Wilamowitz Moellendorf – też Ślązak), staję przeciw powszechnemu fałszowaniu, którego źródeł i celów się domyślam; jak i tego, na czyj młyn płynie ta woda.

Wbrew rozpowszechnionemu fałszywemu potokowi narracyjnemu, uchylającemu dobremu imieniu Sokratesa, jednego z najwybitniejszych filozofów greckich, cenionego dotąd przez świat; wbrew nurtowi przypisującemu temu myślicielowi swego rodzaju nihilizm poznawczy (zresztą błędnie, a za to na użytek krzewicieli wrogości w stosunku do ludzkiej autonomii poznawczej poza tym czy innym Objawieniem, pod pozorem skromności najwybitniejszych myślicieli świata) – twierdzą, za moimi mistrzami, że mędrzec to ktoś taki, który wie więcej niż przeciętny człowiek i nie epatuje „publiczności” paradoksalnymi paralogizmami w rodzaju „wiem, że niczego nie wiem”. Tu nawet widać tendencyjność

w samym – powtarzanym ponad 2000 lat – sformułowaniu: „nic nie wiem”. I absurdalność tej formułki – całkowicie nieдорzeczej – prawie nikomu nie przeszkadza w jej rozpowszechnianiu „w dobrej wierze”. Co to za „dobra wiara”, pytam? W absurd? W zasadzie nic nowego... Rzymski żołnierz (z wojska okupacyjnego) może być Duchem Św. Komu to przeszkadza?

Najmędrszy niczego nie wie. A to dobre! Istny Paweł z Tarsu. Tyle że kilka wieków później i chyba w innym sensie: głupota mądrością (dosłownie, jak tłumaczy bibliści, głupstwo). To dopiero prawdziwa mądrość: boska, chciałoby się powiedzieć.

Skąd my to znamy: głupi wie więcej! Samo życie...

Powtarzam więc kolejny raz: istnieją – jak mnie nauczono – dwa przekazy antyczne. „Wiem, że nie wiem” (oida hoti ouk oida) i „wiem niczego nie wiedząc” (oida ouden eidos). Obydwa sprowadzają się – jak mnie uczono w dobrej szkole, o której wyżej pisałem – do myśli (w odniesieniu do wybitnego filozofa!): „zdamę sobie sprawę z tego, czego nie wiem” (co objaśnia jego uczeń Platon cytując mistrza: „nie znam się np. na hodowli koni itp. – zatem się nie wypowiadam”). A poza tym – tak do końca nie wiem, jak to właściwie jest – powinno być – z dobrem i prawdą.

Nadal zresztą mało kto z poważnych ludzi to wie „do końca”. Mimo to nie wątpimy w ich mądrość.

A swoją drogą: cóż to właściwie ma znaczyć „do końca”? Do jakiego końca? Skąd to pojęcie?

Wiadomo: w tym przypadku chodzi o to, że „wszystko” musi mieć swój początek i kres. Skąd wiadomo? Ano z mitu – właściwie z rozlicznych mitów – o powszechnym początku i końcu.

Wątpię, czy Sokrates się nimi przejmował. Wiadomo zaś z dialogów Platona, że z tradycyjnej religii sobie pokpiwał...

A czy może być coś złego w pięknie? Wedle Sokratesa – nie.

Czy ludzkie ciało – według jego prezentacji od Fidiasza, poprzez **Boticellego**



poprzez **Goyę**:



po pornograficzne prezentacje, ukazujące piękno ludzkiego – szczególnie kobiecego – ciała (jak np. na portalu Hegerre) – to coś odrażającego, „godnego” potępienia?

Pytania retoryczne. Nieprawdaż?

Wszak już Sokrates... W 5 wieku p.n.e. głosił (i zgłosił się tym na śmierć...), że piękno i dobro tworzą jedność: kalokathia (pięknodobro).

A więc kto właściwie oddzielił piękno od dobra? A nawet je sobie przeciwstawił? I co z tego wyszło? Na Dalekim Wschodzie tak się nie stało. Prokreacja jest dobrem (przeważnie; i to na miliardową skalę), a zatem jej obrzydzanie nie ma (biologicznie też) sensu.

A dlaczego my dzisiaj nie możemy się tego trzymać? Bo wydarzyło się nam (przytrafiło) – spadkobiercom (po trosze) kultury greckiej, gdzie atleci ćwiczyli nago i osiągnęli olimpijskie wyniki – chrześcijaństwo, mutacja judaizmu i w ogóle nomadycznej „kultury” środkowo i przednio azjatyckiej.

Chwała ci, Mieszku! Albo: żeby cię szlag! Że cię coś podkusiło! Brać taki „prezent” od „odwiecznych” przyjaciół... Jak to mówi u Homera (Laokoon, wobec drewnianego konia jako niby to ofiary, a w rzeczywistości wypełnionego żołnierzami greckimi, którzy otworzą od wewnątrz bramy Troi)? *Quidquid id est timeo Danaos et dona ferentes* (co by to nie było – obawiam się Greków; nawet jeżeli przynoszą podarunki).

Po co nam to było? Te dary galilejskie? Już Rzymianie mawiali: „czyż z Galilei może pochodzić coś dobrego?” Nie zawsze przyznajemy Rzymianom rację. Ale w końcu co nieco zbudowali. Np. akwedukty. Nawet na Bliskim Wschodzie, okupowanym przez siebie. □

KRZYSZTOF WOŹNIAKOWSKI

## Ironicznym okiem Hendrika Groena o religiach i Kościołach

Hendrik Groen to pseudonim współczesnego holenderskiego pisarza nader skrzętnie ukrywającego swą prawdziwą tożsamość (podobno jego prawdziwe nazwisko brzmi Peter de Smet), a zarazem imię i nazwisko fikcyjnej postaci – rzekomego autora, a zarazem głównego bohatera dwóch znakomych, głośnych dziś na całym świecie powieści utrzymanych w konwencji dziennikowych zapisków, przyswojonych polszczyźnie w równie znakomitym przekładzie z języka niderlandzkiego Ryszarda Turczyzna, a wydanych u nas nakładem warszawskiego Wydawnictwa Albatros Andrzej Kuryłowicz SC: *Małe eksperymenty ze szczęściem. Sekretny dziennik Hendrika Groena, lat 83 i ¾* (2016) i jej dalszego ciągu *Nowy sekretny dziennik Hendrika Groena, lat 85* (2016)<sup>1</sup>. Narratorem i bohaterem jest tutaj sędziwy pensjonariusz jednego z amsterdamskich domów opieki dla seniorów, dla zabicia czasu i utrzymania jakiejś takiej formy intelektualnej prowadzący niemal codzienne zapiski z życia ośrodka, w którym przebywa (akcja części pierwszej rozgrywa się w r. 2013, części drugiej w r. 2014).

Hendrik Groen to bardzo dawno temu już emerytowany były nauczyciel oraz dyrektor szkoły podstawowej, właściwie całkowicie samotny i przez nikogo nie

odwiedzany (jego równie sędziwa małżonka straciła zmysły po niegdysiejszej tragicznej utracie przed ponad pół wiekiem ich maleńkiej córeczki i od wielu lat przebywa w zakładzie zamkniętym bez kontaktu ze światem, nie poznając nawet swego męża), obdarzony talentem obserwacyjnym, ogromnym poczuciem humoru i samokrytycyzmem, ironicznie obserwujący siebie oraz własne, jakże barwne, mini-środowisko domu opieki, a także zjadliwie komentujący różne ważne i mniej ważne holenderskie czy światowe wydarzenia czasu akcji utworu 2013-2014.

Życie samego Hendrika (oraz jego z humorem, ale i często zjadliwie portretowanych stojących nad grobem współpensjonariuszy) upływa na bezustannych zmaganiach z własnym ciałem czy umysłem, w coraz większym stopniu niesprawnym i odmawiającym posłuszeństwa (by wspomnieć jedynie permanentne problemy z poruszaniem się, utrzymywaniem równowagi, wzrokiem, słuchem, demencją starczą i Alzheimerem, Parkinsonem, osteoporozą, nietrzymaniem moczu i kału – by wymienić jedynie pierwsze z brzegu), ustawicznymi i będącymi na porządku dnia ośrodkami zgonami, konfliktami z bezdusznym i potwornie biurokratycznym niekiedy kierownictwem domu opieki (w opozycji do którego Hendrik tworzy z niewielkim gronem najbliższych mu osób kilkusobową klubową grupkę „buntowników” pod nazwą Starzy ale Jeszcze Żywi, w skrócie

<sup>1</sup> Pod pseudonimem Hendrika Groena ukazała się w Polsce także trzecia, również przełożona przez Ryszarda Turczyzna, powieść humorystyczno-satyryczna *Żyj i pozwól żyć* (2019), która tutaj pomijamy, jako niepowiązaną fabularnie z dwoma poprzednimi.

Staży), starczymi obsesjami i wewnętrznymi idiotycznymi konfliktami, wreszcie niebezzasadnym strachem przed potencjalnym zamknięciem domu opieki na fali oszczędnościowych reorganizacji.

Na to wszystko – w cieniu nieuniknionej śmierci – nakładają się wewnętrzne wzruszające sojusze i przyjaźnie (a nawet miłości, jak spóźnione o półwiecze uczucie tytułowego bohatera do staruszki Eetje, czy piękna przyjaźń Hendrika z umierającym na cukrzycę i raka jednonogim kawalarzem i rozrabiaczem Evertem), jak czy też zapiekłe groteskowe fobie i wrogości. W tle – poza obserwowanymi i komentowanymi przez pensjonariuszy autentycznymi realiami Holandii i świata czasu akcji utworu – wiele gorzkich re-

refleksji o specyfice starości, stanie holenderskiej opieki nad seniorami czy (bardzo interesującym niektórych wyjątkowo cierpiących pensjonariuszy) problemie eutanazji, ze wszystkimi za i przeciw. W sumie – znakomicie czytająca się całość, miejscami iskrząca się humorem (często wisielczym), miejscami gorzka lub liryczna i wzruszająca, porównywana przez krytykę literacką – przy wszystkich oczywistych różnicach realiów miejsca i czasu oraz wieku bohaterów – z ongiś głośnym wielotomowym cyklem dzienników Adriana Mole’a brytyjskiej pisarki Sue Townsend.

Namawiając gorąco czytelników „Forum Myśli Wolnej” do lektury przezbawnej i wzruszającej „starczej” dylogii holenderskiego pisarza w całości, chcielibyśmy w tym miejscu skupić się tylko na jednym – zresztą dość pobocznym – wątku dzienników Hendrika Groena – rozproszonymi w nich uwagach narratora

i bohatera o kwestiach religijno-kościelnych. Sam bohater deklaruje się jako człowiek zdecydowanie niewierzący („Pan Bóg i ja mamy taką umowę, że nie zwracamy sobie nawzajem głowy”), przebywający wszakże w środowisku osób w zlaicyzowanej Holandii w jakiejś części uważających się za wciąż przynależnych do różnych związków wyznaniowych, co w codziennym życiu powoduje kolejne – rejestrowane w krzywym zwierciadle satyry – spory i problemy.



Hendrik Groen

Osoby najbliższe Hendrikowi są, jak on sam, niewierzące i nieprzynależne do żadnej organizacji wyznaniowej, ale w domu opieki są także – zresztą mocno zróżnicowani w swojej gorliwości i prawowierności – pensjonariusze wy-

znania katolickiego i przeważający wśród wierzących zwolennicy różnych odłamów protestantyzmu (a także jedna osoba prawosławna); wśród personelu obsługi trafiają się (zresztą niemal nieznający języka niderlandzkiego) muzułmanie.

W domu opieki znajduje się „centrum medytacji”, w którym w niedziele odbywają się wspólne msze ekumeniczne, odprawiane na przemian przez duchownego katolickiego i protestanckiego, na które Hendrik także czasem zagląda, bynajmniej zresztą nie z religijnych pobudek. Wydaje się, że najlepszym sposobem zaprezentowania kapryśnie rozproszonych w powieści, a przeważnie nader przewrotnie ironicznych religijno-kościelnych wątków dziennikowych zapisów głównego bohatera, będzie po prostu zacytowanie wybranych barwniejszych i zabawniejszych fragmentów, co czynimy poniżej:

Właśnie wróciłem z sali medytacyjnej. Zaglądam tam czasem w niedzielę, kiedy jest msza ekumeniczna. W jedną niedzielę przychodzi pastor, a następną ksiądz. Nie rzucają się w oczy, bo obydwoj są mniej więcej w tym samym wieku, co nasi pensjonariusze. Pastor jest dowcipny. Traktuje Boga z pewnym dystansem. Ksiądz natomiast jest starej daty i mówi tylko o piekle i potępieniu. Wielkiej różnicy to nie robi, bo i jednego i drugiego ledwie można zrozumieć (cz. 1, s. 41-42).

[W czasie rozmów pensjonariuszy przy porannej kawie:] Większość uznała, że to całkiem rozsądnie ze strony papieża [Benedykta XVI], że wybrał emeryturę. Zdania na temat czarnoskórego papieża były podzielone. (...) Większość jednak miała zastrzeżenia do papieża w ogóle. W zasadzie nasz ośrodek jest katolicki z odchyłkami w stronę Politycznej Ligii Protestantów i Politycznej Partii Protestantów. Napięcia między katolikami, ewangelikami reformowanymi i protestantami nigdy do końca nie wygasły. A papież to już prawdziwy kamień niezgody (cz. 1, s. 65).

Parę lat temu trzech najpotężniejszych ludzi na ziemi znalazło się niemal jednocześnie w czołówkach wiadomości. Borys Jelcyn był zbyt pijany, żeby zejść po schodkach samolotu, papież Jan Paweł II nie był w stanie powiedzieć „Dziękuję za kwiaty z Holandii” nie zapadając w trątkę w drzemkę, a Bill Clinton wsadził cygaro pod sukienkę pewnej stażystki (cz. 1, s. 68).

Mamy nowego papieża [Franciszka] (...) rano w salce medytacyjnej odbyła się modlitwa za niego i za lepszą pogodę. Część modliła się tylko o lepszą pogodę. Nie zamierzam wychodzić przed szereg i na wszelki wypadek jeszcze nie chowam zimowej kurtki. A co do nowego papieża, to na razie cieszy się moją sympatią, ponieważ jeszcze jako kardynał jeździł do pracy autobusem. Albo metrem, ale to na jedno wychodzi. Wyobrażam

sobie, jak zdejmuję mitrę przy wsiadaniu i wysiadaniu (cz. 1, s. 102).

Wielki Piątek. Dawniej o godzinie trzeciej trzeba było stanąć nieruchomo i pomyśleć o biednym Panu Jezusie. Gdyby dzisiaj w Holandii jakiś ojciec pozwolił przybić swojego syna do krzyża, to ci z kliniki psychiatrycznej Pieter Baan Centrum nie mieliby pojęcia, co zrobić z takim psychopatą. W każdym razie nie daliby mu ani jednego dnia warunkowego zwolnienia, gdyby miał jeszcze inne dzieci. No i miałby też gwarantowany zakaz handlu drewnem (cz. 1, s. 118).

Wczoraj w południe złożyłem jeszcze spontaniczną wizytę Evertowi. Pierwszy szok [po operacji amputacji nogi] miał już za sobą (...) Aby dać mi do zrozumienia, że jest już taki jak dawniej, w którymś momencie zaczął się zastanawiać, czy jeśli muzułmanie poddają się operacji, to według zasad *halalu*, czyli bez znieczulenia (cz. 1, s. 225).

Mamy nowego pensjonariusza, pana De Klerka, który próbuje nawracać wszystkich na kościół reformowany. Nie wiem dokładnie który, ale na pewno jakiś strasznie ortodoksyjny. Na szczęście już nikt nie musi się tutaj szczepić na ospę, bo „ingerowanie w naturalny bieg rzeczy to kompetencje Pana Boga, a my takich kompetencji nie mamy”, jak mówi pan De Klerk. Jego próby pozyskania reformowanych duszyczek spotykają się z wielkim oburzeniem u katolickiej części pensjonariuszy. Widzę, jak wybucha na nowo średniowieczny spór religijny i wprost nie mogę się doczekać, kiedy zostanie spalony pierwszy heretyk. Kiedy wczoraj zwierzyłem się panu De Klerkowi, że bardzo wątpię w dobre intencje Pana Boga, wypowiedział wiele ładnych sentencji. Między innymi taką: – „Pan nie objawił się po to, abyśmy o nim dyskutowali, tylko po to, abyśmy złożyli Mu pokłon”. Na szczęście zgrabne sentencje wcale nie muszą

być zawsze prawdą. Pan De Klerk nie wymyśla ich zresztą sam, tylko czerpie ze swojej reformowanej gazetki „Przyjaciel Prawdy”. Leciwy członek Holenderskiej Partii Komunistycznej mógłby pomyśleć, że to jego dawny organ partyjny powstał z popiołów. Tak się składa, że roszczenia do posiadania prawdy objawionej zgłaszane są ze wszystkich możliwych stron (cz. 1, s. 287-288).

Wiele osób modli się (...) w intencji ofiar [katastrofy na Filipinach], tyle, że nigdy nic z tego nie wynika. Dla niektórych modlitwa to doskonały zamiennik dla wpłaty pieniężnej na konto pomocy. Zamiast wyciągnąć portfele i portmonetki, wolą oddać sprawę w ręce Najwyższego (cz. 1, s. 354).

Muszę powiedzieć, że papież Franciszek budzi moją sympatię już choćby dlatego, że jeździ białym renault z roku 1984. Ciekawe, co się dzieje z poprzednim papamobile? (cz. 2, s. 12).

O ile wiem, w naszym ośrodku jeszcze nigdy nie było żadnego pensjonariusza muzułmanina. Przypuszczam, że tureccy i marokańscy staruszkowie spędzają ostatnie lata życia w kraju swego pochodzenia albo siedzą zamknięci w mieszkaniu któregoś z dzieci z klatka schodową jako niedająca się pokonać przeszkodą. Są oczywiście muzułmanie wśród pracowników ośrodka, ale jeszcze nie widziałem, żeby jakiś pensjonariusz zaczął pogawędkę ze sprzątaczką w chuście czy kimkolwiek spośród personelu. My nie wiemy nic o nich, oni nie wiedzą nic o nas. Chyba już kiedyś o tym wspomniałem, że Pan Bóg i ja mamy taką umowę, że nie zawracamy sobie nawzajem głowy. A Bóg, który obiecuje siedemdziesiąt dwie dziewice, obojętne za co miałyby się je dostać, wydaje mi się jednym z tych głębszych. Pomijając fakt, że po paru miesiącach nie byłyby już dziewicami, zakładając, że

stanowiłoby to nagrodę dla prawdziwego faceta. A jaka jest przewidziana nagroda dla pań, ja się pytam? (cz. 2, s. 14-15).

Nie wierzę w Boga, ale odpowiada mi cisza i spokój, jaki wokół niego panują, dlatego wpadam od czasu do czasu do sali medytacyjnej. Najchętniej w niedzielne popołudnie, bo wtedy jest tam najspokojniej. Wierni są już po przedpołudniowej mszy ekumenicznej i całkowicie pochłaniają ich przygotowania do odwiedzin. Wczoraj w południe mogłem się tam przez pół godzinki nacieszyć spokojem i zakończyłem pobyt zapaleniem świeczki dla mojej córeczki. Cichy szmer za moimi plecami obwieścił pojawienie się starego księdza. – „Czy mogę zapytać, dla kogo?” – Kiwnął przyjaźnie głową na powitanie. – „Dla mojej zmarłej córki”. – „O ile pamiętam, nigdy nie przychodzi pan na msze?” – „Nie, nie należę do pańskiej trzódki. Zresztą do żadnej innej też nie”. Ksiądz stał przez chwilę, patrząc przed siebie. „Coś panu wyznam – odezwał się niespodziewanie. – Pod warunkiem, że zatrzyma pan to dla siebie”. Powiedziałem, że zawsze chciałem być kimś w rodzaju spowiednika dla księdza. Zaśmiał się serdecznie. – „No więc tak, mam trzódkę, ale sam jestem niewierzącym pasterzem. Już od wielu lat nie wierzę w Boga. Pewnego dnia pojąłem to jasno i wyraźnie: Bóg nie istnieje, albo jest niepoznawalny. Dla praktyki religijnej to rozróżnienie niewiele znaczy”. – „Zgadza się z panem co do Boga, ale zawsze myślałem, że w wykonywaniu pańskiego zawodu wiara się przydaje”. – „Da się i bez tego. Potrafię ładnie mówić. Niezwykle sobie cenię to, że mogę zaofiarować ludziom pocieszenie i wsparcie. Poza tym nie wiem, co miałbym robić teraz na starość, gdybym przestał być księdzem. Nikt mnie zresztą nigdy nie zapytał, czy wierzę w Boga”. Przegadaliśmy półtorej godziny. Fascynujący człowiek (cz. 2, s. 45-46).

Dziś rano w centrum medytacji odbędzie się specjalne nabożeństwo, na które co roku przychodzi wiele osób. Może i ja tam poczlapię. W czasie ważnych świąt kościelnych stary pastor i stary ksiądz wspólnie prowadzą modlitwy. Od kiedy ksiądz wyznał mi, że już nie wierzy w Boga, łączy nas pewna specyficzna więź, jak to między ateistami. Zdarza się nam wysączyć butelkę wina i rozmawiamy o sztuce i jedzeniu. On jest koneserem jednego i drugiego. Ze specjalizacją: filmy o jedzeniu (cz. 2, s. 114-115).

Okazało się, że turecki pensjonariusz, którego pojawieniu się towarzyszyły pewne obawy, nie jest muzułmaninem. Może jeść wszystko, obojętne czy *halal* czy *haram*, bo wszystko mu jedno. – „Poproszę o szynkę. Allah Akbar”. Chyba jest prawosławny albo coś takiego, ale jak sam mówi, tylko w Wielkanoc i w Boże Narodzenie. Przez resztę roku jego wiara jest przełączona w tryb czuwania (cz. 2, s. 152).

– „Papież wciąż zaskakuje – powiedział Graeme.– Tym razem w czasie wizyty w Kolumbii kupił sobie coca-colę. Najwidoczniej głowa kościoła chce zaznać doczesnych przyjemności życia. Może powinien spróbować z kobietami?” – „Ciiii... – dało się słyszeć wokół. Tak zareagowała katolicka mniejszość naszego ośrodka. – „Przepraszam, rzeczywiście nie było to za bardzo na miejscu – przyznał Graeme. – Znaczy, wobec kobiet” ( cz. 2, s. 223-224).

Niektóre szkoły podlegające ortodoksyjnemu Kościołowi ewangelicko-reformowanemu bojkotują telewizyjny program *Wiadomości Świętego Mikołaja*, ponieważ występują w nim diabelskie „białe zjawy”. Dyrektor szkoły z wioski Voorthuizen mówi: „Wiemy z Biblii, że Pan Bóg ubolewa nad ludźmi zajmującymi się czarami”. Cóż,

mógłbym podpowiedzieć parę rzeczy, nad którymi dobry Pan Bóg i dyrektorzy szkół powinni ubolewać bardziej niż nad *Wiadomościami Świętego Mikołaja*. Gdybym miał wybierać między Wielką Księgą Pana Boga i Wielką Księgą Świętego Mikołaja, to nie miałbym trudności. W Biblii za dużo jest moim zdaniem dziwacznych wymysłów (cz. 2, s. 375).

W telewizji jest nowy dokumentalny serial przyrodniczy BBC, który ludzie z chęcią oglądają: Łowcy. W każdym odcinku są ofiary, leje się krew, ponieważ serial traktuje o polowaniach w świecie zwierząt (...). To dla mnie za okrutne. Moja sympatia jest zawsze po stronie słabszego (...). Co ciekawe, serial jest emitowany przez telewizję ewangelicką. Uważam, że krwawiący i rozrywany na strzępy Bambi niespecjalnie przyczynia się do wzmocnienia chwały Pańskiej, ale widocznie ewangelicy są innego zdania. Dla mnie coś takiego wzmacnia tylko niezrozumienie dla Stworzenia: zawsze tylko albo jeść, albo zostać zjedzonym, śmierć i cierpienie. Kto przy zdrowych zmysłach stwarza coś takiego? – ja się pytam (cz. 2, s. 406).

To tylko wybrane „perełki” z tej ze wszech miar zasługującej na uwagę dylogii powieściowej w przekornej humorystyczno-satyrycznej formie zwracającej uwagę na arcyważne w istocie problemy skomplikowanej egzystencji ludzi w bardzo podeszłym wieku, stojących z pełną świadomością u samego schyłku życia, ale – przy wszystkich przeżywanych autentycznych i urojonych nieszczęściach i kłopotach – potrafiących wciąż czerpać z niego pełnymi garściami, w myśl dewizy tytułowego racjonalisty 85-latka Hendrika Groena: „A więc dalej z tym koksem. Dopóki życie trwa”. □

## POPOTESTANCKI PIETYZM

### 1. Początki ruchu pietystycznego

Pietyzm rozwijał się w Niemczech w XVII wieku, po wykorzystaniu hasła reformacji luteranńskiej przez feudałów dla swoich celów. Sytuacja społeczna średnich i niższych warstw mieszczańskich, zawiedzionych w nadziei pokładanej w reformacji, była nadal trudna. Wyznanie ewangelicko-augsburskie w większości niemieckich księstw stało się religią państwową, doktryna religijna uległa dogmatyzacji i pojawiły się scholastyczno-formalistyczne spory między teologami, pozbawione refleksji społecznej, mogącej przyjść z pomocą biednym i wyzyskiwanym. Przewlekłe wojny między książętami katolickimi i protestanckimi rozdziły nastroje pesymizmu i niechęci do utrwalającej się ortodoksji luteranńskiej. W dodatku rosło zagrożenie ze strony katolickiej kontreformacji, ciągle przybierającej na sile, a życiu kościelnemu, zarówno katolickiemu jak i protestanckiemu, towarzyszyło rozprzężenie i mniejsza bądź większa demoralizacja.

W takiej sytuacji zaczął rozwijać się nurt mistyczny, którego zwolennicy zwracali większą uwagę na czynne praktykowanie chrześcijańskich cnót, zwłaszcza cnoty miłości bliźniego. Z propozycjami czynnego ożywienia chrystianizmu wystąpili protestanci teologowie, tacy jak Jan Arndt, Teofil Grossgebauer i Henryk Müller. Szczególną jednak rolę odegrał w ruchu pietystycznym Filip Jakub Spener (1635-1705), który – będąc w roku 1666 seniorem duchowieństwa protestanckiego we Frankfurcie nad Menem – wystąpił ostro w swoich kazaniach przeciwko nadużyciom i panującym luźnym obyczajom. Uważając, że reformę

społeczeństwa należy zacząć od ratowania młodzieży przed demoralizacją, rozpoczął dla niej prywatne wykłady Pisma św. Zebrania przez niego organizowane, połączone z wykładami, zwano „collegia pietatis” (łac. *pietas* – pobożność), skąd wziętą swą nazwę cały ruch zwany pietyzmem. W swojej książce *Pia desideria czyli serdeczne pragnienia miłej Bogu naprawy prawdziwego Kościoła ewangelickiego* (1676) Spener polecał lekturę Pisma św. i kładł nacisk na kapłaństwo duchowe. Napotkał jednak rychło na opór ze strony ustabilizowanych, ortodoksyjnych pastorów protestanckich, którzy widzieli w nim i jego zwolennikach separatystów i marzycieli. Rozgorzały spory, a fakultety teologiczne w Wittenberdze i Lipsku uchwałyły rezolucję przeciwko nauce Spenera. W wyniku uniwersyteckiej krytyki pietyzm wzmógł się jeszcze bardziej, ale w Kolegiach Pobożności pojawiły się pewne nieporządki, wzrosła zwłaszcza pogarda dla duchownych urzędowych, tj. pastorów protestanckich, co stało się powodem wydania przez władze niektórych krajów protestanckich zakazu odbywania zebrań pietystycznych. Zakazy te nie stłumiły jednak pietyzmu, spowodowały jedynie jego rozbitcie i pojawienie się nowych frakcji w jego ramach. Niektóre jednak zasady pietyzmu zostały przejęte przez podobny nurt, powstały w katolicyzmie, a zwany kwietyzmem (z czasem potępiony przez papieża).

### 2. Hernhuci

Jedną z tych, już lepiej zorganizowanych frakcji, byli hernhuci. Ich organizatorem był hrabia Mikołaj Ludwik Zinzendorf (1700-1760), osobowość

o skłonnościach mistycznych, który – jak czytamy w opracowaniach jemu poświęconych – już w młodszym wieku „rozmawiał ze Zbawicielem przez całe godziny i wynurzał mu radość i wdzięczność za wszystko, cokolwiek uczynił dla rodu ludzkiego przez swoje Wcielenie”. Jego skłonności mistyczne spotęgowały się w czasie studiów na uniwersytecie w Wittenberdze, podczas podróży do Holandii i Francji, gdzie poznał wybitnych teologów, zarówno protestanckich jak i katolickich. W roku 1721 Zinzendorf przystąpił do organizowania stowarzyszeń religijnych, które w roku 1727 stanowiły już samodzielny związek religijny. Zorganizował go w swoich dobrach Berthelsdorf na Łużycach Górnych (w Saksonii), dając w nich schronienie prześladowanym w Czechach Braciom Czeskim, którzy wyznawali poglądy bliskie ruchowi pietystycznemu. Stopniowo zaczęli napływać inni emigranci prześladowani w swojej ojczyźnie za poglądy religijne, którzy założyli osadę zwaną Herrnhut (Opieka Pańska), od której utrwaliła się nazwa tej sekty.

Ponieważ jednak wśród stowarzyszonych nie zawsze panował rygor religijny, wspólnoty te były atakowane przez pastorów protestanckich, a sam Zinzendorf – wskutek ich agitacji – zmuszony był w roku 1737 opuścić swe posiadłości. Udał się wtedy do Tybingi, gdzie po zdaniu egzaminu z teologii wstąpił do stanu duchownego, otrzymując „święcenia biskupie” z rąk Jabłońskiego, kaznodziei na dworze królewskim w Berlinie. Odtąd jeszcze gorliwiej oddawał się swej

pracy. W towarzystwie swoich zwolenników podjął podróże misyjne do Holandii, Anglii, Ameryki i Zachodnich Indii, wszędzie zakładając gminy herrnhuckie. Ciągłe ataki ze strony pastorów protestanckich zmusiły Zinzendorfa do organizacyjnego uniezależnienia się od Kościoła ewangelickiego. Dokonano tego na Konferencji Synodalnej w Londynie w roku 1741 ogłaszając, że głową i najwyższym zwierzchnikiem gmin herrnhuckich jest sam Jezus, a nie jakkolwiek jego widzialny zastępca na ziemi. Od tego czasu synody stały się organem prawodawczym herrnhutów, wykonawczym natomiast były konferencje starszych, składające się z biskupów i świeckich przedstawicieli gmin. W roku 1747 Zinzendorf otrzymał ze-



Joseph Smith

zwolenie na powrót do kraju, a w roku 1749 parlament angielski uznał jego stowarzyszenie i zaliczył je do grupy gmin ewangelicko-episkopalnych.

Pietystyczno-mistyczne zasady herrnhutów kładą nacisk na rolę uczucia religijnego w życiu człowieka i pomijają programowo rozumowe uzasadnienie prawd religijnych. Zalecają medytację nad cierpieniem, ranami i męką Chrystusa, który – w ich ujęciu – jest jedynym zwierzchnikiem Kościoła kierującym każdym wyznawcą bezpośrednio przez uczucie.

### 3. Labadyści

Inną, mniej znaczącą frakcją pietyzmu byli labadyści, którzy nazwę swą otrzymali od Jana Labbadie (1610-1674), byłego księdza jezuita, który – opuściwszy zakon – w kazaniach swoich ostro atakował zepsucie, zarówno Kościoła

katolickiego jak i protestanckiego. Ostatecznie przeszedł on na wyznanie kalwińskie. Jego zwolennicy, trzymając się głównych zasad kalwinizmu, usiłowali realizować ideały katolickiego życia klasztornego. Prowadzili życie we wspólnocie, a pod względem doktrynalnym stawiali osobiste, wewnętrzne natchnienie Ducha świętego ponad Biblię i ponad oficjalną naukę Kościoła wierząc, że tylko Duch św. może spowodować wewnętrzne odrodzenie człowieka.

#### 4. Swedenborgianie

Większą frakcją w nurcie pietystycznym stanowią swedenborgianie, wywodzący swą nazwę od Emanuela Swedenborga (1688-1772), szwedzkiego teozofa, przyrodnika i matematyka. Wykształcony na uniwersytecie w Uppsali, podróżujący po Zachodniej Europie, po powrocie do Szwecji otrzymał stanowisko asesora przy Radzie Górniczej, szlachectwo i prawo zasiadania w Izbie Panów. Wielką sławę zyskał opublikowaniem trzutomowego dzieła pt. *Opera philosophica et mineralogica* (Lipsk 1734).

Dziewięć lat później, w 1743 r., przebywając w Londynie doznał uczucia objawienia się jemu Boga, otrzymaniu daru porozumiewania się z duchami i misji zreformowania chrześcijaństwa. Opuścił więc służbę państwową, podjął życie samotne i zajął się przygotowaniem nowego dzieła, które zawierało zasady przepowiedanego w Apokalipsie Kościoła „Niebieskiej Jerozolimy”. Ośmiotomowe dzieło pt. *Arcana coelestia* (Tajemnice niebiańskie) wydał w Londynie (poczynając od 1759 r.). Dzieło to ukazało się w Tybindze w języku niemieckim w 16 tomach (w latach 1837-1870), a w języku francuskim w Strassburgu i Paryżu, w 36 tomach (w roku 1819). Zawartą w nim doktrynę można ująć krótko w sposób następujący: Istnieje jeden Bóg, który swego



Emanuel Swedenborg

czasu stał się człowiekiem by ludziom ukazać drogę zbawienia. Jego boska natura nazywa się Ojcem, ludzka Synem, działalność zaś Boga-Człowieka nazywa się Duchem Świętym. Człowiek bez własnych dobrych uczynków nie dostępuje usprawiedliwienia na mocy zasług samego Chrystusa. Sama wiara w moc zbawczą śmierci Chrystusa jeszcze nie usprawiedliwia. Osiągnąć zbawienie można tylko przez uwolnienie się od zła moralnego, przez dobrą mowę i dobre czyny, które wpłyną na prawidłową postawę umysłu i woli człowieka. Dusza przesiąknięta w ten sposób dobrem moralnym, osiągnie odrodzenie.

Jego wizja świata i losów Kościoła przedstawia się natomiast następująco: dzieje świata dzielą się na cztery okresy, zwane też czterema Kościołami: przedpotopowy, azjatycko-afrykański, możeszowy i chrześcijański. Ten ostatni – Kościół chrześcijański – dzieli się również na cztery odmienne okresy-Kościóły: przednicejski, grecki, rzymsko-katolicki i protestancki. Sąd ostateczny miał już miejsce w roku 1767, czego naocznym świadkiem był sam E. Swedenborg. W roku 1770 rozpoczęło się nowe Królestwo Boże na ziemi – czasy odnowione i powrót do pierwotnego chrześcijaństwa.

Za natchnione przez Boga Pismo święte Swedenborg uznał tylko Stary Testament, cztery Ewangelie i Apokalipsę. Do tych ksiąg uczniowie Swedenborga dołączyli jeszcze jego własne pisma, jako również zawierające Objawienie Boże.

Za swego życia Swedenborg nie założył jednak nowego Kościoła. Przepowiedział jedynie jego powstanie. W sześć lat po jego śmierci, pięciu jego przyjaciół i zwolenników założyło Towarzystwo, które później nabrało ram organizacyjnych bardzo prostych. Władza zwierzchnia należy do Synodu, któremu podlegają biskupi i kapłani. Święceń udziela pobłogosławiony przez trzech kapłanów mały chłopczyk, przez włożenie rąk na ordynowanego. Konsekracji w czasie Wieczery Pańskiej dokonuje mężczyzna lub kobieta, osoba wybrana losem spośród uczestników nabożeństwa.

Denominacja ta dziś nie jest liczna. Gminy rozrzucone w Szwecji, Norwegii, USA, Anglii, Kanadzie i Niemczech liczą razem około 30 tysięcy wyznawców. W Polsce nie występują. Dodać jeszcze należy, że ruch pietystyczny w drugiej połowie XIX wieku dotarł również do Rosji, a przyszedł tam ze środowisk niemieckich: Spenera, Franckego, Redstocka i Bedeckera, które szerzyły pietyzm o nachyleniu racjonalistycznym. Pod wpływem ich pism powstał w Petersburgu ruch paszkowców, który swą nazwę wziął od carskiego pułkownika Wasyla Paszkowa (zm. 1902). W. Paszkow szerzył literaturę neopietystyczną, a nawet zorganizował towarzystwo dla jej studiowania oraz wprowadzania w życie zasad pietystycznych. Negując wartość obrzędów i zdogmatyzowanych wierzeń, paszkowcy organizowali akcję charytatywną i wydawali miesięcznik *Rosyjski Robotnik*. Ta próba zbliżenia się do ruchu robotniczego skończyła się niepowodzeniem. Rząd zakazał paszkowcom dalszej

działalności. Wznowili ją wznowili dopiero po rewolucji lutowej 1905 roku. Ie wtedy połączyli się już ze sztundystami.

## 5. Mormoni

W pierwszej połowie XIX wieku pojawił się w amerykańskim protestantyzmie nurt religijny, określanymi jako ruch przebudzenia religijnego, do którego należą między innymi mormoni. Owo „przebudzenie religijne” rozwijało się w atmosferze oczekiwania na rychłe, powtórne przyjscie Chrystusa na ziemię i założenie tysiącletniego królestwa. Uwarunkowane też było sytuacją Amerykanów, którzy tworzyli nowe społeczeństwo, jeszcze nie scalone, składające się z przedstawicieli różnych narodowości. Tworzyli oni do pewnego stopnia nową cywilizację. Pojawiły się nowe problemy obyczajowe, wynikające z różnorodnego składu społeczeństwa, pojawił się problem wolności i równouprawnienia Murzynów. Rozwój przemysłu, a wraz z nim amerykańskiego kapitalizmu stwarzał zapotrzebowanie na jakąś syntezę tych żywiołowych procesów społecznych. Pojawiali się więc różni prorocy, wyposażeni przez protestantyzm w Biblię, a tłumacząc ją subiektywnie tworzyli mniej lub więcej fantastyczne



Świątynia w Salt Lake City  
– siedziba główna kościoła mormonów

propozycje uogólniające. Wśród nich pojawił się inspirator i organizator mormonów, Joseph Smith (1805-1844).

J. Smith był wyznawcą Kościoła metodystycznego, synem ubogiego farmera, jednym z wielu poszukiwaczy złota. Wędrując z miejsca na miejsce miał wiele czasu na rozmyślania, miał też nawiązać w tamtejszych lasach, które przeszukiwał, kontakt z istotami niebiańskimi. Jedną z tych istot miał być anioł Moroni, który ujawnił mu istnienie zakopanych na jednym ze wzgórz złotych płytek, zapisanych w języku „reformed egyptian”. Płytki te – wedle wierzeń mormonów – miały być w dawnych czasach przywiezione do Ameryki przez jednego z proroków Izraela. Za zgodą tego anioła, w roku 1827, J. Smith zabrał te płytki ze wzgórza Cumorah i z utrwalonego na nich tekstu stworzył w roku 1830 słynną „Księgę Mormona” (The Book of Mormon), która stanowi podstawę doktryny społecznej i religijnej tego wyznania. Po wykorzystaniu treści płytek J. Smith – na polecenie anioła – odniósł je na wzgórze i ponownie zakopał, anioł bowiem (Moroni) miał mu zabronić pokazywania płytek komukolwiek. W roku powstania „Księgi Mormona” zorganizowała się też w Fayette pierwsza gmina mormońska.

Doktryna religijna sformułowana w „Księdze Mormona”, ciągle wzbogacana nowymi objawieniami anioła, nawiązująca do chiliazmu, wysuwała na pierwsze miejsce treści społeczne i obyczajowe, trudne do przyjęcia przez tamtejsze środowiska chrześcijan różnych wyznań. Niepopularny był postulat wolności dla murzyńskich niewolników; a wręcz bulwersujący był postulat wielożeństwa, od którego realizacji uzależniano zbawienie. Wielożeństwo, zwane tam „pieczętowaniem jednego mężczyzny z wieloma niewiastami”, było niewątpliwie wynikiem dużo większej ilości kobiet niż mężczyzn

w tej społeczności. Stosując je, Smith „pieczętował się” z 30 kobietami, jego następca Young z 25, a inny ich kapłan, Lee, posiadał 19 żon i 64 dzieci.

Właśnie z powodu stosowanego wielożeństwa mormoni byli przepędzani przemocą – w utarczkach i walkach – z jednego miejsca na drugie. Przeciwnicy wielożeństwa spowodowali aresztowanie przywódców mormońskich – Smitha, jego brata Hyrusa oraz apostołów Taylora i Richardsa, a następnie wdarli się do więzienia i zlinczowali uwięzionych; Smith poniósł wtedy śmierć. Jego następca, Brigham Young, podjął ewakuację mormonów z Nauvoovo i ruszył w głąb pustyni. Mormoni doszli do stanu Utah, gdzie nad Jeziorem Słonym założyli bardzo nowoczesne, jak na owe czasy, miasto Salt Lake City, dzisiejszą stolicę tego stanu.

Poligamia mormonów była powodem kasacji ich wyznania przez Rząd Federalny w roku 1887. Poddając się tej decyzji, mormoni zrezygnowali z wielożeństwa i uzyskali ponownie status wyznania legalnego, a Salt Lake City stało się centrum mormonów z całego świata.

Kościół mormonów, którego oficjalna nazwa brzmi „Kościół Jezusa Chrystusa i Świętych Ostatnich Dni”, jest zorganizowany teokratycznie. Na jego czele stoi Prezydent i Rada. Kapłaństwo zorganizowane jest wielostopniowo, od pierwszego stopnia do ósmego. Dzieli się ono na dwa rodzaje: kapłaństwo Aaronowe i kapłaństwo Melchizedechowe. Według obrządku Aarona powołuje się diakonów, nauczycieli i kapłanów, natomiast według obrządku Melchizedecha powołuje się starszych zboru, zwanych kapłanami siedemdziesiątymi, arcykapłanów, patriarchów i apostołów. Apostołem jest u nich stanowiskiem najwyższym.

Mormoni są antytrynitarzami. Uznają wprawdzie istnienie Boga-Ojca, Boga-Syna i Boga-Ducha Świętego, ale w ich

ujęciu są to trzej różni bogowie, a nie jeden Bóg w trzech osobach. Człowiek natomiast przekształca się z czasem w istotę boską, w pełni szczęśliwą. Mormoni uważają również, że są Kościołem żyjącym w tzw. „ostatnich dniach”, o których mówi Apokalipsa. Wierzą oni w Drugi Advent, czyli powtórne przyjscie Chrystusa na ziemię i założenie przezeń tysiącletniego królestwa, na końcu którego ludzie źli zostaną zniszczeni. Zostanie też zniszczona śmierć i nastanie „odnowienie całej ziemi”. Potępią oni, a na końcu tysiącletniego królestwa zniszczony będzie tylko ten, który sam tego zechce, wszyscy inni zaś będą zbawieni. Warunkiem zbawienia jest chrzest, który należy przyjąć osobiście. Można też go przyjąć „zastępczo” (po raz drugi) nawet za kogoś, kto o mormonach nie słyszał, a dzięki temu „zastępczemu” chrztowi będzie również zbawiony. Poza chrztem mormoni praktykują jeszcze komunie, wkładanie rąk (konfirmację) oraz ordynację (święcenia).

## 6. Ruch zielonoświątkowców

Ruch ten swą genezą sięga do tzw. „grup świętości”, rozwijających i pielęgnujących rozbudzenie religijne lansowane przez pietyzm. Bezpośrednim poprzednikiem ruchu zielonoświątkowców był Ruch Świętości (Holiness Movement), którego zwolennicy (D. L. Moody, Ch. G. Finney, R. A. Torrey) podkreślali doniosłość odrodzenia i chrztu Duchem Świętym w życiu człowieka. Ruch ten w XIX wieku ożywił się i rozwinął w Stanach Zjednoczonych A. P., skąd przeszedł do innych krajów Europy i na cały świat. Rozwinął się szczególnie w Italii, Rumunii, Polsce, Korei Południowej i Ameryce Łacińskiej.

Jego zwolennicy podejmują i eksponują moment zesłania Ducha św. na dwunastu Apostołów zgromadzonych

w wieczerniku po wniebowstąpieniu Chrystusa. Wydarzeniu temu towarzyszyło – według tradycji chrześcijańskiej – zjawisko zwane glossolalią, czyli mówienie apostołów obcymi językami, dotychczas im nieznanymi, które to mówienie było darem Ducha św. Ponadto zesłaniu Ducha św. towarzyszyło ożywienie aktywności apostołów, którzy – dotychczas wystraszeni i ukrywający się – po tym wydarzeniu wystąpili publicznie i głosili z wielką mocą nowinę o zmartwychwstaniu Pańskim.

Otóż zwolennicy tego ruchu, zwane go też ruchem pentekostalnym (z greki *pentekostes* znaczy – pięćdziesiątnica) utrzymują, że Duch święty nie zstąpił jednorazowo, lecz od tamtego czasu zstępował i zstępuje często, w celu ożywienia wiary religijnej i dania człowiekowi pełni życia religijnego. Tej pełni życia, połączonej z darem mówienia różnymi językami, doświadczali pietyści niemieccy, szwedzcy i angielscy, kwakrzy, herrnhuci, metodyści, irwingianie i adwentyści. Byli to chrześcijanie jakby nieprzećiętni, wyższej jakości wyznawcy Chrystusa, którzy otrzymali specjalne uswięcenie, drugie błogosławieństwo, zwane „chrztem w Duchu Świętym”.

W Ameryce Północnej to „spontaniczne wylanie Ducha Świętego” rozpoczęło się w latach 1901-1906. Wtedy to miały mieć miejsce takie zjawiska, jak mówienie językami i nawrócenia w szkole biblijnej „BETHEL” w Topeka oraz w Los Angeles. W roku 1906 jeden ze zborów metodystycznych w Kalifornii gromadnie doświadczył zjawiska glossolalii. Od tego czasu co raz to nowe zbory, nie tylko metodystyczne, ale i baptystyczne oraz adwentystyczne, mówiły w czasie zbiorowych nabożeństw niezrozumiałymi językami, dając dowód otrzymania „chrztu w Duchu Świętym”. Charyzmaty, czyli specjalne

dary i umiejętności udzielane przez Ducha Świętego zielonoświątkowcy uważają za cel sam w sobie, a nie za środek mający służyć rozwijaniu Kościoła. Dlatego ducha prorokowania przeciwstawiają nie tylko organizacji kościelnej, ale i samej Biblii, ponad którą wynoszą osobiste oświecenie przez Ducha Świętego.

Poszukując społecznego podłoża ruchu zielonoświątkowców jego historyk – Gloria G. Kulbeck z Kanady – dostrzeża je w zachwianiu zaufania do nauki i techniki oraz w sprzecznościach społecznych początków XX wieku. Pisała ona w swojej książce pt. *Co Bóg sprawił* tak: „Hipoteza ewolucji, głoszona przez Darwina, zachwiała przekonania wielu. Wzmógł się krytycyzm podważający wiarę innych. Ewangelia socjalizmu silniej przemawiała do niektórych niż Ewangelia ukrzyżowanego Chrystusa. Chmury pierwszej wojny światowej zawisły nisko, gotowe uderzyć piorunem, w Sarajewie. Odpowiedzią Boga na to było powołanie Zielonoświątkowców ...” (cyt. za S. Włodarski, W. Tarnowski, *Kościół chrześcijański*, Warszawa 1968, s. 209). Zdaniem Kulbeck więc, powołanie Zielonoświątkowców było reakcją Boga na niezadowolone społecznie i na zagrożenie ludzkości wojną. Ruch zielonoświątkowy miał znieść owo niezadowolenie. Dziś wiemy jednak, że wojnie światowej nie zapobiegł, a czy wpłynął na rozładowanie społecznego niezadowolenia? W każdym razie koncepcja ta była reakcją na luterzańską i kalwińską doktrynę o usprawiedliwieniu. Doktryna ta – zdaniem zielonoświątkowców – nie zdała egzaminu, świat bowiem nadal jest pełen niesprawiedliwości. Należy więc uświęcać jak największą ilość ludzi, którzy w konsekwencji podzielą się na sprawiedliwych i świętych z jednej strony oraz niesprawiedliwych z drugiej. Cała działalność zielonoświątkowców zmierzała

więc do otrzymania „ognia Ducha Świętego”, nadchodził bowiem koniec dziejów świata, którego dokładnej daty jednak nie podawano. Zielonoświątkowcy głoszą ponadto potrzebę powrotu do prostoty nabożeństw, odprowadzanych w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. W czasie swoich zgromadzeń religijnych wielbią Boga i modlą się o zdrowie dla siebie, swoich braci, rodziny, znajomych, o sukcesy w życiu religijnym i zawodowym. Wierzą, że w czasie modłów Duch Święty wypełnia swoją mocą ich serca, a oni w spontanicznych modlitwach wyrażają swoją przynależność do nadchodzącego Królestwa Chrystusowego. W czasie nabożeństw niedzielnych przeżywają Pamiątkę Wieczery Pańskiej, którą uważają za symbol śmierci i zmartwychwstania Jezusa, a nie za prawdziwe jego ciało i krew.

Zielonoświątkowcy zmierzają też do zjednoczenia całego rozbitego chrześcijaństwa, ale nie w ramach organizacyjnych jednego Kościoła, lecz przez „doświadczenie obecności żywego Boga i realność Ducha Świętego namacalną w nawróceniu się, uświęceniu, w chrzcie Duchem Świętym i w charyzmatycznych darach”. Owo uświęcenie i zjednoczenie dzieci Bożych, jak również ewangelizacja całego świata, winno nastąpić w ciągu życia jednego pokolenia.

Podstawową jednostką organizacyjną zielonoświątkowców jest zbor, składający się z placówek liczących nie więcej niż 15 osób. Zbory tworzą okręgi, zarządzane przez Okręgowe Kolegium Duchownych, którymi kierują prezbiterzy okręgowi. Okręgi tworzą Kościół, którego najwyższą władzą jest Synod, zbierający się raz na pięć lat. Synod Kościoła wybiera naczelną Radę Kościoła i naczelnego prezbitera. Naczelną Radę składa się z prezbiterów okręgowych i Zarządu Kościoła. □

### KAZIMIERZ PASENKIEWICZ

## Wrzesień 1939 rok – Włodzimierz

28 sierpnia wróciliśmy z kajakowej wycieczki na grupę jezior Świtezi Poleskiej. W czasie burzy na Świtezi o mało nie ulegliśmy katastrofie. Szczęśliwie huragan wyrzucił nas na wyspę ptasią na samym środku jeziora.

Polesie to jeden z najpiękniejszych krajów międzywojennej Polski. Łąki, lasy, rzeki, kanały, z rzadka wzgórze. Kraj dostojny, archaiczny, rzadko zaludniony. Rzeki tam to niezawodna, prawie całoroczna komunikacja.

Wróciliśmy pełni wrażeń, w nastroju pogody i ciszy. Nie spodziewaliśmy się tak szybkiego wybuchu wojny.

Pierwszego września – jak co dzień – popłynąłem kajakiem na przystań łódek w mieście, w pobliżu hurtowni tytoniu, którą prowadziłem. Ranek był słoneczny i pogodny, ale świat wydał mi się obcy. Nie wszystkie percepcje poddają się analizie. Niektóre z nich są nadal tajemnicze, jak np. zjawiska parapsychologii, a także całościowy odbiór skomplikowanych układów. Oglądając całość wie się czasem, że zaszły w nim zmiany, ale nie wie się, jakie; nie zawsze mają one charakter zmysłowy.

Miasto było pra wie puste. Na ulicy Kowalskiej, prowadzącej do koszar, ujrzałem biegnącego wuja Apolinarego. Miał nieprzytomną twarz; mijając mnie zawołał: **W o j n a! I biegł dalej.**

Nie pierwszy raz usłyszałem to wołanie. Tym razem nie wywołało radosnego podniecenia jak niegdyś. Wywołało przynębienie, przeczucie klęsk i zniszczenia. Niewielu ówczesnych mieszkańców Włodzimierza przeżyło tę wojnę.

Włodzimierz, przed wiekami stolica Włodzimiersko-Halicckiego księstwa, zniszczony w 1240 roku przez Tatarów, nigdy nie wrócił do dawnej świetności. Księstwo przetrwało niszczące najazdy tatarskie



skie i jakiś czas utrzymywało ożywione stosunki polityczne z Polską, zwłaszcza z Księstwem Mazowieckim. Nie potrafiło jednak w XV w. przeciwstawić się naciskowi Gedymina, Kazimierza Wielkiego i Węgier. Utraciło niepodległość.

Przed pierwszą wojną światową Włodzimierz był miastem przygranicznym. Stacjonował tam duży garnizon wojsk rosyjskich. Mieszkańcy, przeważnie Żydzi, żyli z handlu, kontrabandy, przerzucania ludzi przez granicę, z rzemiosła. Okoliczne obywatelstwo [tj. ziemiaństwo – red.] w większości polskie.

W okresie międzywojennym Włodzimierz był siedzibą władz powiatowych; liczył 25 tysięcy mieszkańców: Żydów, Ukraińców, Polaków, trochę Czechów. Stacjonowały tam 27 pułk artylerii polowej, 23 pułk piechoty i podchorążówka artylerii. Z dziedziny kultury: kino w drewnianej szopie,

liceum, średnia szkoła żydowska, 3 kościoły, 3 cerkwie. Stary zamek służył jako więzienie.

Zabudowa chaotyczna, brud; latem kurz, jesienią i wiosną na ulicach (prócz centralnych) błoto nie do przebycia. Administracja nieudolna, zajmowała się głównie polityką, wyborami, zwalczaniem ruchów ukraińskich. Ograniczone samorządy miejski i powiatowy.

Skutecznie i energicznie działały Spółdzielnie ukraińskie, zwłaszcza *Masłosojuz*; były to organizacje rozwijające świadomość i kulturę narodową Ukraińców. Cechowała je wrogość do poczynań administracji.

Ludność żydowska była usposobiona do polskości neutralnie. Budziły się w niej nastroje nacjonalistyczne; coraz częściej wyjeżdżano do Palestyny i uczono się hebrajskiego. Większość żyła w wielkim ubóstwie.

W miesiącach poprzedzających wojnę władze wykazały zupełną bez troskę. Żadnych przygotowań do zbliżającej się wojny. Kiedy też wybuchła, nastąpiła zupełna dezorganizacja życia gospodarczego. Już w pierwszych dniach wojny zabrakło w mieście towarów pierwszej potrzeby zwłaszcza monopolowych, tytoniu, zapalek, spirytusu, benzyny i innych.

Prowadziłem w mieście hurtownię tytoniową; wobec braku normalnego kredytu mogłem mieć zapas tytoniu najwyżej na 5-6 dni. W dniu, gdy tytoniu zabrakło, tory kolejowe do Kowla zostały zbombardowane i pociągi stanęły. Trzeba było wrócić do transportu minionych lat.

Z wielkim trudem mobilizując wszystkie dostępne źródła kredytu, zdołałem wpłacić do PKO 17 tysięcy złotych i zaopatrzony w czek i kilka wynajętych furmanek wyruszyłem na noc do odległego o 60 km Kowla, gdzie mieściła się fabryka i skład tytoniu, zaopatrujący kilka powiatów.

Podróż przez ukraińskie tereny nie była całkiem bezpieczna. Sporadycznie pojawiały się objawy wrogości w stosunku do Polski i Polaków. Wsie wystawiały nocne

warty i trzeba było legitymować się. Jednak transport tytoniu zyskiwał zrozumienie i akceptację.

W Kowlu usłyszałem – stojąc przed głośnikiem – ostatnie słowa spikera radiostacji warszawskiej: „Boże, co się dzieje”; reszta – milczenie.

Wróciłem do Włodzimierza przed południem zdrowy i cały. Dzięki tej ekspedycji ludność powiatu miała dosyć tytoniu i papierosów na najbliższe tygodnie.

Początek wojny we Włodzimierzu zapowiadał dalszy jej tragiczny przebieg. Na trzeci dzień na skrzyżowaniu ul. Łuckiej i Dworcowej zebrała się w południe większa grupa odpoczywających żołnierzy i uciekinierów. Jakiś nisko przelatujący niemiecki samolot zrzucił bomby. Skutek był tragiczny: blisko 60 osób zabitych i rannych. Szpitale włodzimierskie zapęłniły się.

Po 12 września miasto było przygotowane do obrony. Na ulicach wylotowych kopano rowy, ustawiano karabiny maszynowe i działka przeciwpancerne. Solidne umocnienie zbudowano obok hurtowni. Pracowaliśmy razem z żołnierzami, którym nie brakowało papierosów, herbaty i kanapek.

Gdzieś w połowie września pod Włodzimierzem pojawili się Niemcy. Szli z południa od strony Lwowa. O świcie próbowali bezskutecznie przejść przez rzekę i wkroczyć do miasta.

Rano obserwowałem z dachu naszego domu – poprzez szeroką dolinę Ługi – próby wyjścia czołgów niemieckich z lesistych pagórków w kierunku miasta. Artyleria polska ostrzeliwała je. Artyleria niemiecka ostrzeliwała wieżę cerkwi, gdzie byli polscy obserwatorzy. Widowisko było interesujące, chociaż obawiałem się, że Niemcy ostrzelają nasz dom, znajdujący się między walczącymi. Kilka razy Niemcy próbowali wyprowadzić swe czołgi z lasu, ale bezskutecznie; czołgiści byli bardzo ostrożni, a ogień artylerii polskiej był dość celny; pociski rwały się przed lub

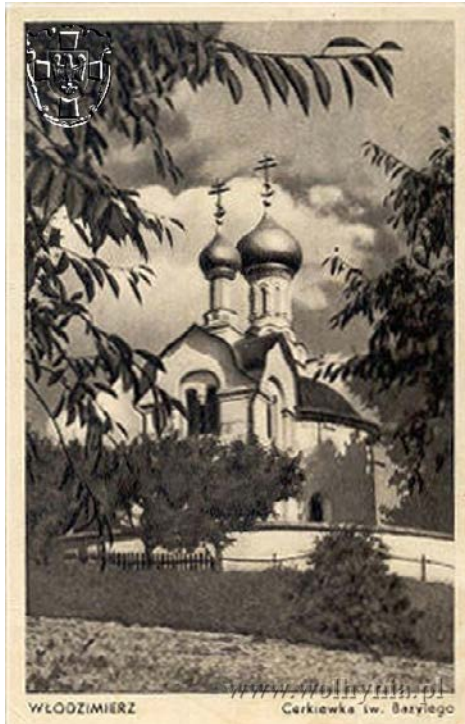
obok czołgów. Włodzimierz był najdalej na wschodzie miastem, do którego dotarli Niemcy, ale go nie zdobyli.

Po kilku dniach wojny stało się oczywiste, że alianci nie wystąpią aktywnie i klęska Polski jest nieunikniona. Nastąpiły dni, kiedy w mieście nie było żadnej władzy. Pojawiły się uzbrojone grupy cywilów, terroryzujące ludność polską. Uniemożliwiały one przejazd przez miasto wojskowym autom i przejście mniejszym grupom żołnierzy.

Próby dywersji zlikwidowało wojsko w sposób niezwykle. Rozpowszechniono słuchy, że Hitler został aresztowany i Niemcy wycofują się z Polski. Miasto ponownie opanowały pozostałe tu oddziały wojska polskiego. Grupy dywersyjne zostały zlikwidowane.

Wieczorem jednego z tych niespokojnych dni podszedł do mnie przywódca wędrującej grupy pytając, czy można dojść do szosy łuckiej omijając miasto. Poprowadziłem ich; szosa ta szła właśnie w pobliżu mego domu. Byli to górnicy ze Śląska. Szli zwartą, zorganizowaną grupą. Jestem pewien, że przedostali się do Związku Radzieckiego i że wrócili do kraju. Lekki powiew optymizmu i polskości; życzyłem im szczerze pomyślnej drogi.

W drugim i trzecim tygodniu września przybywali do nas krewni, znajomi i obcy żołnierze z rozbitych lub rozproszonych oddziałów. Przybywali także uzbrojeni żołnierze ukraińscy opuszczający oddziały.



Pierwszych trzeba było zaopatrzyć w cywilne ubrania, pieniądze i żywność. Ukraińcy żądali tylko przewiezienia na drugi brzeg Ługi. Oszczędzało to im kilkunastu kilometrów drogi i niepewnego przejścia przez miasto. Przewoziłem ich na drugi brzeg pojedynczo kajakiem. Byli dobrze zaopatrzeni w broń i amunicję, ale czekali cierpliwie i byli wdzięczni.

Przez cały czas trwającej wojny przez Włodzimierz przejeżdżało wiele osobowych aut kierujących się do

Rumunii. Pewna ich część pozostała w mieście i na szosach z braku benzyny. Ewidentnym skutkiem beztroski gospodarczej był długi szereg błyszczących cadillac'ów i fordów, prowadzonych przez Rosjan w stronę Łucka. Jaki był los ich kierowców i pasażerów? Ciężki był także los licznych we Włodzimierzu rodzin wojskowych oficerów i podoficerów. Niektóre z tych rodzin – zwłaszcza posiadające dzieci – były zupełnie bezradne.

Wojna ta była dla Polski bardziej bezlitosna i tragiczna niż wszystko, co dotychczas Naród przeżył.

17 września w nocy od strony szosy łuckiej, odległej kilometr od naszego domu, usłyszeliśmy głucho dudnienie; trwało ono całą noc: nieskończony sznur czołgów ciągnących do miasta i dalej na zachód. Był to ponury odgłos klęski. Tak do Włodzimierza, dawnej stolicy Księstwa Halicko-Włodzimierskiego, przybyły wojska i administracja radziecka.

Już pierwsze dni władzy radzieckiej ujawniły jej cele i metody działania. Dążono

wyraźnie do zdobycia sympatii ukraińskiego i żydowskiego społeczeństwa, oraz do zlikwidowania Polaków jako czynnika władzy i kultury. Władze pragnęły uchodzić za wyzwolicieli niosących sprawiedliwość społeczną i narodową. Natomiast bezwzględnie łamały wszelki opór, nawet urojony.

Dla żołnierzy radzieckich było przestępstwem używanie wulgarnych i nieprzyzwoitych zwrotów. Byli to zresztą ludzie życzliwi i prości.

Dnie, które spędziłem przed wyjazdem do Warszawy w radzieckim Włodzimierzu, były tak obce, jakby w jakimś egzotycznym kraju. Nieznany mi język propagandy, przedstawiający sytuacje i stany rzeczy nie tak, jak to było, ale jak (według nich) być powinno. Działania były zbyt ostre i radykalne, jak zakręty brane w pełnym biegu.

Do szkół wprowadzono język rosyjski i ukraiński, ale nie było nauczycieli. Jedyne co załatwiono rozsądnie to pozostawienie handlu w rękach prywatnych, zapewniając w ten sposób normalne zaopatrzenie ludności. Wszystkie ważniejsze urzędy obsadzono Rosjanami, nawet nie Ukraińcami; sądząc z wyglądu i wypowiedzi, byli to wyrobieni społecznie robotnicy. Niższe urzędy obsadzono członkami Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, często zwolnionymi właśnie z więzień. Jednak wyczuwało się wyraźnie nastrój ogólnej niepewności, zatrwożenia, niespodziewane zwycięstwo budzi często niepokój.

Żołnierze radzieccy oblegali sklepy, płacili hojnie; pomimo wielkiego tłoku nie było żadnych konfliktów między kupującymi, ani pretensji do sprzedających. Porządek i dyscyplina w pełni zachowane.

Na trzeci dzień po wkroczeniu wojsk radzieckich wyszedłem z domu, jak zwykle, do hurtowni. Idąc w kierunku szkoły ujrzałem na niej grupę żołnierzy radzieckich. Przyglądali mi się. Gdy przechodziłem obok nich, oficer zapytał mnie, kim jestem. Gdy odpowiedziałem mu po

rosyjsku (co było poważnym błędem), kazał jednemu z żołnierzy odprowadzić mnie na komendę. Żołnierz opowiedział mi po drodze, że jest kołchoźnikiem, jaki przydział otrzymuje i co robi on i jego rodzina. W komendzie pracował jako tłumacz mój dobry znajomy, stolarz Wiśniewski – wypuszczony przed paru laty z więzienia KPZU-owiec. Żołnierz otrzymał pokwitowanie, a ja poszedłem do hurtowni. Był to przykład niezwyklej podejrzliwości władzy radzieckiej.

Wojskowi radzieccy byli w tym czasie w stanie wielkiego podniecenia. Udało im się zlikwidować skutki Pokoju Ryskiego; potęga radziecka wzrosła. Byli spragnieni rozmowy, propagandy, uznania. Rozmawiałem przypadkowo, czekając u fryzjera w Hrubieszowie, z oficerem czołgistą; otóż nie mógł on zrozumieć, jak armia, która zwycięsko walczyła w dwudziestym roku ze Związkiem Radzieckim, mogła być zniszczona w ciągu kilkunastu dni. Odpowiedziałem mu: *Uwidicie*.

Jego wątpliwości wydały mi się rozsądne. W poprzedzającym okresie więcej interesowano się tym, co myślał jakiś Jan, Icek czy Iwan o Związku Radzieckim, nie tym, co myśli o nim Hitler; a nietrudno było dowiedzieć się o tym.

Dziwiło mnie zawsze, jak nietrafnie przewidują politycy przyszłe wydarzenia. Chęci szczerze i emocje paraliżują mózg. Najgorzej chyba na tym wychodziliśmy my, Polacy. Skutki zawsze te same: setki tysięcy zbędnych ofiar i rosnące osłabienie narodu; jego bazy materialnej i biologicznej.

Jednym z decydujących o dalszych losach rodziny wydarzeń była moja podróż wynajętym autem osobowym do Równego w celu zobaczenia się i omówienia najpilniejszych spraw z rodziną. Brat był tam sędzią.

Jechaliśmy tym autem ja i pięciu innych pasażerów (nie licząc szofera). Odważyli się oni na podróż w równie nagłych jak moja sprawach. Łatwo sobie

wyobrazić nasze cierpienia. Byliśmy upchani jak śledzie w beczce.

Brata i rodzinę (żonę i dwoje dzieci) zastałem zdrowych i przygotowanych na najgorsze. Dalszy los brata był tragiczny. Został zesłany z rodziną do obozu pracy za Uralem w 1939 roku, a pod koniec wojny przeniesiony do ciężkiego obozu karnego na samej północy Uralu, gdzie przebywał przez osiem dalszych lat. Obóz nazywał się *Krasnaja Szapoczka* (Czerwona Czapeczka). Wrócił do kraju w 1954 r. i po kilku miesiącach zmarł; organizm był zbyt wyczerpany. Jego rodzina wróciła z zesłania w 1946 r. Myślę, że jednym z powodów tych tragicznych przeżyć były nierozważne słowa pożegnania. Zamiast napomnieć, by troszczył się o rodzinę i siebie, powiedziałem, żeby w żadnej okoliczności nie zapomnieli, że są Polakami. Zbędne w tej sytuacji, patetyczne słowa.

Zdawało się, że ja osobiście nie mam powodu do żadnych obaw, jednak uważałem, że lepiej wyjechać z Włodzimierza możliwie wcześniej. Realizując zasadę: po wybuchu rewolucji zmień miejsce zamieszkania nie podając adresu, wyjechałem do Warszawy.

Zaraz po moim wyjeździe przyszli na działkę, aby mnie aresztować. Jak się potem dowiedziałem, listy osób, które należało wywieźć w głąb Rosji, były o wiele wcześniej sporządzane przez informatörów; najczęściej Polaków, którzy nie mieli nic wspólnego z partią [Autor miał zapewne na myśli KPP – red.]. Mnie prawdopodobnie zgłosił na listę mój współnik w hurtowni tytoniowej; moje zniknięcie byłoby mu na rękę.

Przed wyjazdem należało pomyśleć o losie licznej, pozostającej we Włodzimierzu rodziny. Mężczyźni mogli wyjechać, ale dzieci i kobiety musiały zostać, nim urządzimy się w Warszawie. Trzeba więc było zapewnić im środki utrzymania do czasu wyjazdu. Zastosowałem tę samą metodę

„ukrytej przestrzeni”, o której już pisałem. Sprawa była teraz prostsza; oddzieliłem mocnym drewnianym przepierzeniem część szczytową strychu; skróciłem go o 2 metry. Uzyskaną przestrzeń wypełniłem towarami.

Dziewczyna Ukrainka widziała w dzień przywóz rzeczy, ale nie wiedziała, co się z nimi stało w nocy. Zakomunikowała, co widziała, swojemu ojcu, który był już członkiem jakiegoś komitetu. Szukano towaru bez rezultatu kilka godzin. Dla chłopca dom to dom, a ściana to ściana. Nie czytywał kryminalnych powieści. Pod koniec rewizji przeszukujący znaleźli w piwnicy wino, popili się, a resztę zabrali. Dla nich dzień nie był stracony; dla nas też nie.

Pożegnałem wszystkich uroczyście. Nie sądziłem jednak, że rozstajemy się na tak długo. Trafem nikt z rodziny nie utracił życia w czasie wojny. Los wielu był ciężki. Droga niektórych do kraju prowadziła przez 3 kontynenty. Niektórzy nigdy do niego nie wrócili.

Podróż nasza do Warszawy była niezwykła – nawet jak na moje niespokojne życie. Jechaliśmy we trójkę. Moja siostra, Janina Salcewicz, szwagier Kazimierz Cywiński i ja. Moja siostra spędziła wrzesień z nami na działce (pod Włodzimierzem), a Cywiński przyszedł do nas po rozproszeniu się jego oddziału. Oboje wracali do Warszawy do domu. Z nami zabrały się dwie młode dziewczyny: jedna jechała do brata męża do Hrubieszowa, a druga do rodziców do Chełma.

Podróż rozpoczęliśmy dużym parokonnym wozem z dwiema ławkami, przykrytym brezentem. Rzeczy nie mieliśmy żadnych. Gdy zjeżdżaliśmy w Uściługu do mostu na Bugu wóz wywrócił się, a my wypadliśmy, bez większej szkody, do rowu. Nie zapowiadało to pomyślnej podróży.

W tych dniach wojska radzieckie wycofywały się spod Lublina za Bug. Mijały nas liczne pojazdy, przeważnie ciężarówki załadowane „wojenną zdobyczą”. Były tam ławki szkolne razem z tablicami i spleczkami, szafy, stoły i przypadkowo

zabrane w ostatniej chwili rzeczy. Wyglądało to dość zabawnie.

Zaczął mżyć jesienny deszcz. Siedząc na tylnych siedzeniach pod brezentowym przykryciem umilaliśmy sobie czas jak mogliśmy. Zwykły porządek rzeczy w czasach zagrożenia. Wieczorem przyjechaliśmy do Hrubieszowa i spaliśmy wszyscy pokotem. Jednak jedną z towarzyszek podróży zabrał szwagier – ku jej oburzeniu – do innego pokoju.

O świcie następnego dnia wyruszyliśmy tym samym wozem do Chełma; 50 km drogi. Jechała z nami już tylko jedna dziewczyna. Przyjechaliśmy pod wieczór. Rodzina tej dziewczyny mieszkała przy wjeździe do miasta; powitali nas bardzo grzecznie. Na drugi dzień woźnica odjechał, a my poszliśmy do miasta szukać możliwości dalszej podróży.

Na podwórku szpitala dla umysłowo chorych ujrzelśmy jakiś mocno sfatygowany samochód. Był to osobowy, solidny ford, którego szofer, warszawiak, poszukiwał benzyny w mieście. Zaproponowaliśmy mu współudział w tych poszukiwaniach pod warunkiem, że zabierze nas do Warszawy.

W szpitalu przyjęto nas bardzo gościnnie, zaproszono na obiad, kolację i nocleg. Zwłaszcza życzliwi byli chorzy, wcale na takich nie wyglądający. Po kilku tygodniach, znowu przejeżdżając przez Chełm, dowiedziałem się o ich losie. Było to jedno z najbardziej przerażających przeżyć tej wojny. Takim jest, takim może stać się człowiek.

Od mieszkańców dowiedzieliśmy się, że wartownicy gorzelni, żołnierze niemieccy, sprzedają butelkę spirytusu za srebrną 10 złotych z Piłsudskim. Dokonaliśmy wielkiej transakcji, wymieniając wszystkie posiadane srebrne monety (podobizna Piłsudskiego już nie obowiązywała) na 60 litrów spirytusu. Upchaliśmy to do auta.

Było to pierwsze okupacyjne doświadczenie; supermani niemieccy brali łapówki chętniej niż polscy urzędnicy.

Doświadczenie chełmskie przywróciło wolność mojej zaaresztowanej żonie i chroniło spółdzielnię przed likwidacją.

Następnego ranka po serdecznym pożegnaniu wyruszyliśmy do Warszawy. Była to niesamowita podróż. Auto było w bardzo złym stanie. Wszystkie części były zdezelowane. Najbardziej opony i karburator. Średnio co 10 km pękały kolejne dętki we wszystkich kołach. Przez pierwsze 80 km szofer starannie kleił; musiał także przeczyszczać karburator; zwłaszcza od czasu, kiedy do benzyny dolewaliśmy spirytus. Potem zabrakło już kleju. Szofer wpadł na pomysł wlewania do opon wody. Odtąd zatrzymywaliśmy się przy studniach i strumykach. Na pokonanie 170 kilometrowej trasy potrzebowaliśmy 15 godzin. Przybyliśmy do Warszawy skrajnie wyczerpani, zwłaszcza szofer. Ostatnim wysiłkiem auto dojechało do Bednarskiej, ale na górę wjechać już nie mogło.

Mieszkałem właśnie na Bednarskiej nr 27; poszedłem więc po pomoc do domu; sześciu mężczyzn wepchało auto na górę. Był późny wieczór.

Na drugi dzień podzieliliśmy spirytus. Na nas przypadło 45 litrów. Cena butelki z 10 zł skoczyła do 100. Był to zakładowy fundusz spółdzielni, którą postanowiliśmy założyć.

Doświadczenie z 1918 roku się przydało. Założona spółdzielnia, którą nazwaliśmy „Transportowo-Spożywcza Spółdzielnią Warszawa-Hrubieszów” należała do związku rewizyjnego „Społem” i mieściła się na Pradze. W czasie wojny pomogła przetrwać wielu działaczom konspiracyjnym, przetrwała też wojnę. Po wojnie moje kontakty ze spółdzielnią i jej pracownikami były rzadkie. Prezesem jej był nadal Sierakowski i po dawnemu głównym artykułem dystrybucji były chemikalia. W lokalu spółdzielni, w swoim służbowym pokoju, zmarła najbardziej zasłużona pracownica spółdzielni Anna Jaworska Klimberg, odznaczona Virtuti Militari, dawna bojownicza POW. □

LESŁAW CZAPLIŃSKI

## Kościelna umiejętność asymilacji

**Jedną z przyczyn długowieczności i prężności Kościoła katolickiego jest jego zdolność przechwytywania i przyswajania haseł, metod działania oraz instytucji, stworzonych przez systemy ideowe, mogące stanowić dla niego zagrożenie lub konkurencję.**

Już u zarania swego istnienia, chrześcijaństwo, będące rodzajem mesjanistycznej sekty w ramach judaizmu (jeśli przyjmie się, że swymi korzeniami nauczanie Jezusa związane było z ruchem esseńczyków), lub przykładem odnowy religii pierwotnie o zasięgu narodowym, dzięki czemu zyskała ona wymiar uniwersalny (na podobieństwo wcześniejszego wystąpienia Zaratustry, reformującego irański mazdaizm, czy Siddharthy Gautamy – historycznego Buddy, czyli Oświeconego – reinterpreterującego tradycyjny braminizm), w znacznej mierze wchłonęło doktrynę i rytuał propagowany przez Jana Chrzciciela, od którego zresztą wzięło jedną ze swych nazw oraz podstawową formę inicjacji. Jego faktycznym twórcą był żyjący później Paweł z Tarsu, albowiem Jezus, jeśli przyjmie się jego historyczność, miał o wiele skromniejsze ambicje, będąc kimś na podobieństwo Marcina Lutra judaizmu *ante litteram*.

Rozpowszechniwszy się na terytorium rzymskiego imperium, gdy przestało być postrzegane jako odłam judaizmu, zyskało w końcu status państwowego wyznania (edykt Teodozjusza Wielkiego, 381), integrującego niekiedy odległe od siebie ludy, samo przejmując zarazem monarchiczną strukturę organizacyjną

z papieżem jako odpowiednikiem cezara, w miejsce wcześniejszych, rozproszonych gmin. Prawdopodobnie też pod wpływem grecko-rzymskich oraz małozjatyckich kultów politeistyczno-antropomorficznych nastąpiło odejście od rygorystycznego monoteizmu żydowskiego i deifikacja historycznej postaci założyciela wspólnoty – Jezusa – rzekomego Mesjasza, który zgodnie z tradycją miał być jedynie zesłanym przez Boga narodowym przywódcą, bez jakichkolwiek cech nadprzyrodzonych, a wskutek przydania jego śmierci znamion soteriologicznych (odkupienia) stał się Chrystusem (Zbawicielem). Następnie dokonano się wyodrębnienie i ucieleśnienie atrybutu Boga Jahwe – jego mocy – w osobie Ducha Świętego. Przy czym chyba już wtedy dawała znać o sobie tendencja do ubóstwienia matki Jezusa jako Bogarodzicy (gr. θεοτοκος), skoro w Koranie, potępiane przezeń pojęcie Trójcy, składa się według niego z Boga, któremu przydano rolę Ojca, Jezusa, jako jego syna, oraz właśnie Dziewicy Marii<sup>1</sup> (V, 116). Na marginesie warto zauważyć, że na gruncie chrześcijańskim judaistyczne wyobrażenie Absolutu podzieliło losy bóstw innych dawnych religii (np. Uranosa czy Brahmy), które wraz z ich rozwojem ustąpić musiały miejsca nowym pokoleniom bogów (Zeusowi czy Wisznu), same stając się według określenia Mircei Eliadego tak zwanymi *dei otiosi* (bogami oddalonymi).

Już perscy władcy z dynastii Achemenidów – Cyrus Wielki i Kambyzes – podbijając kolejne kraje (Lidię, Babilon,

Egipt), kooptowali jednocześnie do swojego panteonu ich lokalnych bogów. Z górą tysiąc lat później chrześcijaństwo, rozszerzając swe wpływy na nowe obszary (np. tereny zamieszkałe przez ludy germańskie czy też Słowiańszczyznę), zastępowało oddawanie czci bóstwom uosabiającym siły natury oraz cykle wegetacyjne ustanawianiem w ich miejsce dla różnych dziedzin życia świętych patronów, niejednokrotnie będących zresztą postaciami na poły legendarnymi, jak na przykład święci Jerzy i Krzysztof. Na tej samej zasadzie obchody ku czci Wszystkich Świętych nałożyły się na wcześniejszy kult przodków (np. wschodniosłowiańskie Dziady), a Jana Chrzciciela połączono z solarnymi obrzędami letniego przesilenia (Sobótka, Noc Kupały).

Podobny mechanizm zaobserwować można w odniesieniu do powstających na przełomie I i II tysiąclecia katarskich herezji i związanych z nimi tzw. ruchów ubogich: albigensów i waldensów, beginek i begardów. Z jednej strony w 1215 roku na IV soborze laterańskim, zwołanym przez Innocentego III w celu zwalczania albigensów, ustanowiono Inkwizycję, wcześniej wysyłając przeciwko nim wojska pod wodzą Szymona z Montfort. Ta zaliczana do krucjat ekspedycja karna w okrutny sposób rozprawiła się z rozwijającym się na południu Francji nurtem religijnej odnowy (masakra zdobytego w 1209 Béziers). Z drugiej jednak strony przyswojono pewne ich idee i włączono w obręb doktryny katolickiej, wykorzystując w tym celu powstałe w tym samym roku wspólnoty franciszkańskie i propagowany przez nie typ pobożności. Zresztą ich założyciel – Giovanni Bernardone z Asyżu – być może inspirował się w tym względzie poglądami waldensów, albowiem jego matka – Giovanni Pica – pochodzić miała z francuskiej Prowansji, co znalazło wyraz w nadanym mu przez ojca przydomku

Franciszek. Co prawda jego panteistyczne – jakby to powiedział Michaił Bachtin – „światoodczucie”, streszczające się w słynnej formule „brat słońce, siostra księżyc”, budziło zastrzeżenia reprezentujących Inkwizycję dominikanów i na dobrą sprawę zasługiwało na potępienie, ale wspomniany papież Innocenty III dostrzegł w tym możliwość rozładowania rodzących się niepokojów poprzez stworzenie w ramach Kościoła kontrolowanej heterodoksji.

Ideę „ubogiego kościoła” oraz powrotu do zasad wczesnego chrześcijaństwa głosili także inni charyzmatyczni kaznodzieje, np. karmelita Juan de Yepes, znany lepiej jako późniejszy Jan od Krzyża, narażając się na posądzenie o herezję, przesładowania i uwięzienie, by później zostać wyniesionymi do godności świętych i doktorów kościoła. W bliższych nam czasach z podobną nieufnością odnoszono się do „objawień” siostry Faustyny Kowalskiej i dopiero w jakiś czas po jej śmierci zdecydowano się je wykorzystać dla zaspokojenia określonych potrzeb i oczekiwań wiernych.

Proces równoczesnego zwalczania i asymilacji zjawisk niebezpiecznych dla Kościoła trwa do dziś i zaznacza się na różnych poziomach jego funkcjonowania. I tak potrzebie zaspokojenia więzi wspólnotowych oraz bezpośredniego doświadczenia transcendencji, właściwych dla przeżywania *sacrum* w sektach czy innych ruchach heterodoksyjnych, wychodzą naprzeciw tworzone w tym celu grupy formacyjne w ramach instytucjonalnego Kościoła. Najwyraźniej daje się to uchwycić na przykładzie charyzmatycznego Ruchu Odnowy w Duchu Świętym, będącego przeniesieniem na grunt katolicki praktyk obrzędowych Zielonoświątkowców, znanych też – zwłaszcza na Ukrainie – pod nazwą Pięćdziesiątników (od ilości dni pomiędzy Wielką nocą a uroczystościami zesłania Ducha

Świętego). Charakterystyczne dla nich wprowadzanie się w stan zbiorowej ekstazy poprzez zapamiętanie się w wielokrotnym przywoływaniu z przymkniętymi oczyma imienia Jezusa, we wspólnotach katolickich uzyskiwane jest w trakcie grupowych śpiewów, których uczestnicy trzymają się za ręce, rytmicznie kołysząc przy tym ramionami.

Ścisłej integracji wiernych służył też młodzieżowy ruch formacyjny, powołany w 1954 roku przez ks. Franciszka Blachnickiego i nazywany naprzód „Ruchem Żywego Kościoła”, a następnie „Światło-Życie”. Początkowo stanowił miał przeciwwagę dla oficjalnej indoktrynacji marksistowskiej, później także przeciwdziałał pozyskiwaniu zwolenników przez alternatywne związki wyznaniowe. Za sprawą cykli piętnastodniowych zgrupowań rekolekcyjnych, zwanych oazami, powstały spoiste wspólnoty o silnej tożsamości grupowej, stające się rodzajem wewnątrzkościelnych sekt. W pewnym momencie zaczęto więc dostrzegać w nich niebezpieczeństwo tendencji odśrodkowych i ich rozwój został w ostatnim okresie w znacznej mierze przyhamowany.

Jedną z cech, wyróżniających tzw. nowe ruchy religijne, jest praktykowany przez nie obowiązek uprawiania przez ich wyznawców ulicznej działalności misyjnej (najbardziej rozpowszechnionej wśród Badaczy Pisma Świętego, których najlepiej znanym odłamek są Świadkowie Jehowy). Podejmowanym ostatnio w tym zakresie przeciwdziałaniem ze strony kościoła katolickiego jest organizowanie przy niektórych parafiach tzw. Grup Ewangelizacyjnych, mających w swoim najbliższym środowisku sąsiedzkim umacniać wiarę, między innymi poprzez odwiedzanie parafian w ich domach. Stanowi to jedną z form realizacji propagowanej przez Jana Pawła II strategii „nowej ewangelizacji”, mającej

na celu powstrzymanie procesu sekularyzacji społeczeństw wysoko rozwiniętych, a także przenikania do ich synkretycznej kultury wartości duchowych z innych kręgów cywilizacyjnych (zwłaszcza hinduizmu i buddyzmu w ramach tendencji spod znaku New Age).

Jednym z przejawów tej „rewolucji kulturalnej” jest tworzenie katolickiej alternatywy dla zjawisk występujących w kulturze masowej, a więc np. chrześcijańskiego rocka, uprawianego m.in. przez Dariusza Malejonka, Marcina Pospieszalskiego i Mieczysława Szcześniaka. Nurt ten przeciwstawiany jest formacjom „heavy metalowym” jak np. „Kat”, pomawianym o propagowanie okultyzmu i satanizmu. Na tej samej zasadzie opiera się organizowanie katolickich imprez oraz inicjatyw równoległych – np. chrześcijańskich „Dni Żaka” jako alternatywy wobec Juwenaliów, czy też „Przystanku Jezus” w czasie i miejscu rozgrywania się „Przystanku Woodstock” w Kostrzynie. To także choćby częściowe odwoływanie się do skojarzeń związanych z przeciwnikiem. Katolickie Centrum Młodzieżowe w Krakowie nazwano „U Siemachy”, wykorzystując pokrewieństwo brzmieniowe patronatu księdza Kazimierza Siemaszki z popularnym wśród młodego pokolenia zawołaniem „się ma”, spopularyzowanym przez zaciekle zwalczanego Jerzego Owsiaaka.

Z kolei przykładem odwołania się do taktyki tajnych lub półjawnych stowarzyszeń, wywierających wpływ na sferę publiczną poprzez wprowadzanie swych członków do instytucji politycznych, społecznych i gospodarczych, okazała się założona w 1928 roku przez hiszpańskiego księdza José Marię Escrivá de Balaguera organizacja Opus Dei, będąca *sui generis* katolickim odpowiednikiem masonerii (oficjalnie potępionej przez papieża: Klemensa III w 1738 oraz

Benedykta XIV w 1751). Zresztą przez niechętnych jej jezuitów określana bywa mianem „białej masonerii”. Zwłaszcza za pontyfikatu Jana Pawła II cieszyła się ona szczególnym poparciem i wielu mianowanych przez niego kardynałów wywodziło się z jej szeregów (w Polsce do jej członków należą niektórzy politycy, jak np. Michał Kazimierz Ujazdowski).

Pod niejednym względem Kościół wykorzystuje również doświadczenia i wzory oddziaływania perswazyjnego totalitaryzmu komunistycznego. „Wychowawczą działalność partii” zastąpiła dziś „duszpasterska misja kościoła”, z równą arogancją traktująca dorosłe społeczeństwo jako obiekt odgórznej indoktrynacji. „Propaganda wizualna”, polegająca na wprowadzaniu motywów ideologicznych (hasła i wyobrażeń wizualnych) do wystroju miast, ustąpiła miejsca planszom o tematyce religijnej, umieszczanym na zabudowaniach przykościelnych w ramach kampanii pod hasłem „ewangelizacji wizualnej”, a olimpiady o wiedzy i działalności Władimira Lenina tak samo nazywanym zawodom, tyle że poświęconym tym razem osobie Jana Pawła II. Tenże, wraz ze zniknięciem Festiwalu Młodzieży i Studentów, organizowanych pod auspicjami Związku Radzieckiego i jego satelitów (np. w Warszawie w 1955, przyznających się do przewyciężenia narzuconej izolacji i w konsekwencji zapoczątkowujący polityczną odwilż), wprowadził w ich miejsce Światowe Dni Młodzieży, gromadzące młodych katolików i odbywające się z udziałem papieży. Gwoli ścisłości, może należałoby raczej mówić o wtórnym sięganiu do własnych źródeł, albowiem wcześniej to właśnie utopie rewolucyjne odwoływały się do eschatologicznych wizji chrześcijaństwa, zakładając nastanie swoistego „Królestwa Bożego” w wyniku głoszonych przez siebie założeń ideologicznych. Na przykład popaździernikowa propaganda radziecka bardzo chętnie operowała zwrotami, pierwotnie



Josemaria Escrivá de Balaguer

występującymi w kontekście biblijnym, a konkretnie nowotestamentowym. Do rangi nieformalnej sankcji prawnej, spopularyzowanej w postaci sloganu „Kto nie rabotajet, tot nie kuszajet”, wyniesiono ustęp z 2 Listu św. Pawła do Tessaloniczan: „Kto nie chce pracować, niech też nie je” (3, 10). Z kolei przypisywane Stalinowi, skądinąd słuchaczowi tyfliskiego Seminarium Duchownego, hasło: „Kto nie jest z nami, jest przeciw nam”, faktycznie jest zmienioną co do liczby wypowiedzią Jezusa: *qui non est mecum, contra me est*, odnotowaną w synoptycznych ewangeljach: św. Mateusza (12, 30) oraz św. Łukasza (11, 23). Podobnie jego odwrócenie – „Kto bowiem nie jest przeciwko nam, jest z nami” – przyświecające pewnej liberalizacji, następującej po fali represji, towarzyszących stłumieniu Powstania Budapeszteńskiego w 1956, a włożone w usta Jánosa Kádára, w rzeczywistości pochodzi z Ewangelii św. Marka (9, 40) i znów stanowi przytoczenie słów Jezusa.

Proces ten obejmował nie tylko sferę języka, ale również rytualizację życia publicznego i polegał na tworzeniu tzw. świeckiej obrzędowości, paralelnej lub alternatywnej względem tradycji religijnych i chrześcijańskiej liturgii. Już w okresie Rewolucji Francuskiej, na wniosek Jacques’a René Héberta, 7

listopada 1793 Konwent wprowadził kult Rozumu – w języku francuskim rodzaju żeńskiego – a więc personifikowanego przez artystkę Opery Marie-Thérèse Davoux, zwaną Mademoiselle Mailard, która podczas uroczystości, zorganizowanych trzy dni później w przekazanej na ten cel paryskiej katedrze Notce Dame, wystąpiła w trójkolorowym stroju, złożonym z czerwonej czapki frygijskiej, białej sukni i niebieskiego płaszcza. Podobne ceremonie odbywały się w przejętych kościołach w innych miastach Francji. Z inicjatywy Maximiliena François Marie de Robespierre'a, 17 czerwca 1794 zastąpiono je Świętem Najwyższej Istoty, obchodzonym po raz pierwszy w ogrodach Tuilleries i na Polach Marsowych w dzień dawnych Zielonych Świąt (18 czerwca). Jego oprawę zaprojektował naczelnny artysta Rewolucji – Jacques-Louis David – a głównym celebrazem był sam pomysłodawca w błękitnym stroju, podpalający posąg Ateizmu, zza którego ukazywał się wizerunek Wiedzy.

W PRL w latach siedemdziesiątych propagowano uroczyste nadawanie dziecku imienia w Urzędzie Stanu Cywilnego jako formę obywatelskiej inicjacji, paralelną wobec katolickiego chrztu. W szkołach do dziś zachował się z tamtych czasów zwyczaj pasowania gęsim piórem pierwszoklasistów na uczniów, w czym można się było dopatrzeć przejawu powszechnej militaryzacji życia publicznego z uwagi na podobieństwo z przebiegiem oficerskich promocji. W NRD przejawem tych tendencji było tzw. Święto Młodości (Jugendweihe, którego genealogia sięga czasów nazistowskich i analogicznych obchodów Reichsjugendweihe<sup>2</sup>), mające zastąpić religijną konfirmację na gruncie wspólnoty obywatelskiej (od tego momentu w szkołach zwracano się do uczniów za pośrednictwem formuły „pan” i „pani”). Szczególnie cywilne uroczystości ślubne w krajach, w których w znacznym stopniu

wyparły one analogiczne ceremonie religijne, dostarczały możliwości prześledzenia, jak dawne, zewnętrzne formy obrzędowe, wypełnione zostały nową, świecką treścią. Na Węgrzech Urzędnik Stanu Cywilnego, przepasany szarfą w narodowych barwach niczym stułą, odbierał rotę ślubnej przysięgi na egzemplarz Konstytucji, zastępującej Biblię, a następnie dla przypieczątowania aktu małżeństwa podawał nowożeńcom do wypicia kieliszki szampana, co z kolei stanowiło zapożyczenie z zaślubin żydowskich.

Do omawianego kręgu zjawisk należała też deifikacja twórców ideologii, lub założycieli opartych na nich totalitarnych reżymów. Szczególnie monstrialne formy przybrał ten kult w odniesieniu do Lenina, Stalina, Mao Tse-tunga, Kim Ir Sena i Hitlera (w przypadku czterech ostatnich jeszcze za ich życia). Pośmiertne balsamowanie ich zwłok, wystawianych następnie na widok publiczny, wyraźnie nawiązywało do katolickiej czci relikwii świętych. Z okazji stulecia urodzin twórcy państwa radzieckiego – Władimira Ulianowa – pojawiła się m.in. odznaka z jego podobizną z czasów dzieciństwa, zyskując złośliwe miano „dzieciątka Lenin” przez analogię do małego Jezusa z ikonografii chrześcijańskiej. W KRL-D wszyscy obywatele mają obowiązek noszenia przypiętych do ubrań plaketek z wizerunkiem Kim Ir Sena. Z kolei odpowiednio upamiętnione miejsca, związane z pobytem tych postaci, stawały się „ośrodkami pielgrzymowania” – np. szlakiem wędrowek koreańskiego przywódcy po Górach Diamentowych czy kwietniowe rajdy leninowskie na Podhalu. W tym kontekście znamienym wydać się może ustanowienie turystycznego szlaku papieskiego, przebiegającego w Beskidach: Sądeckim, Wyspowym, Małym oraz w Gorcach, a poświęconego osobie Jana Pawła II. W związku z przypadającą w kwietniu rocznicą urodzin Lenina organizowano w ZSRR „subbotniki” czynów społecznych, nakładające

się na termin obchodów prawosławnej Wielkanocy, utrudniając, lub wręcz uniemożliwiając udział w uroczystościach religijnych. W przypadku osób żyjących wiązała się z tym praktyka ukazywania ich przyjazdów na podobieństwo epifanii, a więc zstępowania z wysokości. Po raz pierwszy efekt ten zastosowała Lei Riefenstahl, rozpoczynając swój słynny film dokumentalny „Triumf woli” od ujęcia wyłaniającego się spoza chmur samolotu, na pokładzie którego Hitler przybywał na Parteitag do Norymbergi, gdzie gromadziły się już widzialne z góry, niezmierzone rzesze jego zwolenników. Do wzoru tego nawiązał w zakończeniu swego fabularnego „Upadku Berlina” Micheil Cziaureli, przywołując triumfalne pojawienie się Stalina w pokonanej stolicy Rzeszy, co stanowiło historyczną mistyfikację, albowiem w rzeczywistości radziecki przywódca odbył tę podróż pociągiem. O sile oddziaływania tego chwytu świadczyć może, iż zastosowano go po latach w filmowym reportażu Mirosława Chrzanowskiego i Janusza Kędziarawskiego z pierwszej wizyty Jana Pawła II w Polsce w 1979 roku. W sekwencji przylotu papieża na Podhale, z perspektywy helikoptera widać jak w dole strużki pielgrzymów podążają polnymi drózkami na miejsce spotkania, zlewając się stopniowo w coraz większe strumienie. Gwoli sprawiedliwości należy nadmienić, że film ten nie był firmowany przez Kościół, lecz został wyprodukowany przez państwową agencję Interpress.

W przypadku Jana Pawła II można mówić w Polsce o prawdziwej papolatryi, która w znacznym zakresie przejęła

elementy tamtych „kultów jednostek”. Zaczęła się szerzyć jeszcze za życia papieża, kiedy ustanowiono specjalny „Dzień Papieski”, przypadający w trzecią niedzielę października i upamiętniający rocznicę jego wyboru, a także zaczęto przyznawać mu niezliczone ilości honorowych tytułów (doktoratów, obywatelstwa miast), nadawać jego imię ulicom, placom oraz instytucjom, również publicznym, jak lotniska<sup>3</sup> (w Krakowie), szpitale, szkoły czy uczelnie (Uniwersytet Opolski), wreszcie stawiać pomniki.

Na marginesie omawiania przypadków zwalczania przez Kościół tendencji, mogących stanowić dla niego zagrożenie, poprzez przyswajanie i wchłanianie niektórych ich właściwości doktrynalnych i organizacyjnych, co dotyczy także parareligijnych systemów ideologicznych i ruchów politycznych, na których kształt sam niejednokrotnie oddziaływał, warto na koniec przywołać interesującą dyskusję na temat totalitaryzmu jako immanentnej cechy światopoglądu religijnego w ogólności, a katolicyzmu oraz instytucji Kościoła w szczególności. Pod koniec lat osiemdziesiątych toczyła się ona na przekór podziałom konfesyjnym, na łamach Tygodnika Powszechnego, Polityki i Szpilek. Sprowokował ją Jerzy Turowicz, który, wychodząc z przesłanek formalnych, zawęził pojęcie i fenomen totalitaryzmu do zjawisk dwudziestowiecznych. Jego antagonistami w równym stopniu byli Daniel Passent, Kazimierz Koźniewski i Jerzy Urban, występujący pod pseudonimem „Klaksona”, reprezentanci przeciwnego obozu ideowo-politycznego, jak i Stefan Kisielewski z własnych szeregów. Argumentami na rzecz



Św. Franciszek z Asyżu

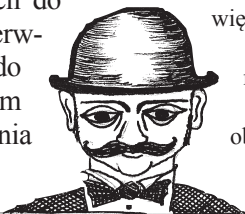
totalitaryzmu – oprócz dyżurnej w takich sytuacjach Inkwizycji – były m.in. feudalna zasada *cuius regio, eius religio*, jezuickie państwka indiańskie w Paragwaju, zwane redukcjami, jako próba urzeczywistnienia katolickiej utopii. Już niebawem rację im przyznać miała praktyka polityczna i społeczna, jaka zapanowała po przełomie roku 1989, gdy pojawiło się niebezpieczeństwo państwa wyznaniowego z takimi atrybutami totalitaryzmu, jak monopol ideologiczny (osławiony zapis o obowiązku przestrzegania „wartości chrześcijańskich” w ustawie o radiofonii i telewizji), cenzura (ściganie z paragrafu kodeksu karnego „obrazy uczuć religijnych”, ograniczenie oświaty seksualnej) i kontrola nad życiem prywatnym obywateli poprzez represję obyczajową (utrudnienie cywilnych procedur rozwodowych poprzez skierowanie ich do sądów wojewódzkich jako pierwszej instancji, wprowadzenie do prawa instytucji separacji), w tym likwidacja swobody decydowania

o własnej rozrodczości (zmniejszenie dostępności antykoncepcji, w praktyce zakaz dokonywania zabiegów przerywania ciąży). W związku z tym ostatnim daje się ponadto zaobserwować przeniknięcie do ogólnego dyskursu publicznego sformułowań nacechowanych przez katolicką aksjologię: „życie od poczęcia”, „dziecko poczęte”, „aborcja” czy zgoła „zabijanie nienarodzonych”, zamiast dotychczas przyjętych i neutralnych pojęć: „życie od narodzin”, „płód”, „przerwanie ciąży”, co Agnieszka Graff określiła mianem przegranej bitwy na polu języka. Dostrzegli to także tacy niezależni intelektualiści spoza kraju jak Leszek Kołakowski czy Jerzy Giedroyc. □

<sup>1</sup>Jako matka proroka Isy (arabskie brzmienie imienia Jezus) cieszy się ona w islamie znacznym szacunkiem, a Koran poświęca jej o wiele więcej uwagi niż Ewangelie.

<sup>2</sup>Richard Grunberger, Historia społeczna Trzeciej Rzeszy, PIW 1987, t. 2, s. 352.

W przypadku Gdańska praktyka ta objęła również Lecha Wałęsę.



## SANEJ DOLY?

### DOBRA RADA

Do Rothschilda przyszedł pewnego razu jakiś początkujący bankier z prośbą o radę. Pożyczyłem swojemu klientowi bez weksla i żadnego pisemnego poręczenia dziesięć tysięcy franków, a ten wyjechał do Konstantynopola, nie myśląc wcale o oddaniu długu.

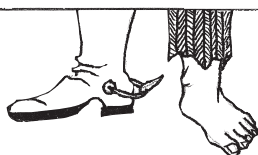
- Co robić, co robić? – biadolit i jęczał bankier.

- Iść natychmiast do domu, usiąść i napisać do niego list, ażeby panu w jak naj-

krótszym terminie oddał pożyczone pięćdziesiąt tysięcy franków.

- Oj, przepraszam, panie baronie, czy to nie pomyłka? Nie pięćdziesiąt tysięcy pożyczylem, tylko dziesięć tysięcy... Przecież on mnie zwymyśla od oszustów!

- Może i panu nawymyśla, a co to szkodzi? Ale napisze, że pożyczyl od pana tylko dziesięć tysięcy franków i będzie pan miał wreszcie jakiś dowód. A wtedy zobaczymy, co dalej robić...



Nazwisko Marian Toporek poznaliśmy przy okazji śledzenia ideowo-artystycznego teatrów Krakowa w latach 1945 – 1956. Tym razem obiektem zainteresowania Autora jest twórczość Stefana Żeromskiego. Najciekawszym jest punkt spojrzenia na tę twórczość. Marian Toporek utożsamia się z losami swojego krajana, z losami badanymi nie tylko przez historyków, ale poznawanymi przez chłopca urodzonego w podkieleckich Kostomłotach, który zauroczony słowami Żeromskiego wielokroć piechotą, w swojej pielgrzymce przemierzał tropy Pisarza. Żeby zrozumieć.

Red.

## Marian Toporek

### Śladami Żeromskiego

#### Część I

Żeromski opętał mnie w liceum. Na ile to był *genius loci*, a na ile fascynacja – trudno powiedzieć. Prawdopodobnie i jedno i drugie. Urodziłem się na ziemi Żeromskiego. Kilkanaście kilometrów od Strawczyna, miejsca urodzin pisarza (obok o parę kilometrów był Oblęgorek Sienkiewicza). Dzieciństwo i młodość spędziłem we wsi Kostomłoty na linii między Strawczynem a Psarami i Ciekotami pod Górami Świętokrzyskimi, gdzie z kolei przeprowadzili się Żeromscy, a młody Stefan (Marcinek Borowicz) spędził dzieciństwo. Tam, w cieniu Puszczy Jodłowej, gór Klonówka i Radosłowa, dorastał przyszły pisarz. To wszystko to były podziemne prądy, które zwróciły mnie w kierunku Żeromskiego.

Ale nie tylko. Była to również fascynacja historyczna. Epopeja napoleońska, powstania narodowe, ale również wielka wrażliwość na krzywdę, szczególnie chłopską. Stefan Żeromski urodzony w 1864 roku był pod wielkim wrażeniem sprawy narodowej, a szczególnie



Młody Stefan Żeromski

Powstania Styczniowego i jego bezprzykładnej klęski. To była nigdy nie zabliźniona rana w młodej patriotycznej duszy.

Żeromski urodzony w Strawczynie, z którego wyjechał jako dziecko w Dolinę Wilkowską u podnóża Gór Świętokrzyskich i Puszczy Jodłowej, miał tylko kilka kilometrów w kierunku zachodnim, aby oprzeć swe wzrastanie o Wierną Rzekę. Płynąca szeroką równiną poza wałem wzgórz niewielka rzeka Łosośna, Łośna, Łosienica (takie nazwy można znaleźć na mapach z różnych czasów), powszechnie dziś nazywana jest tak jak w powieści Żeromskiego – Wierną

Rzeką. To tam Salomea Brynicka ukrywała rannego powstańca, księcia Józefa Odrowąża. Tak również nazywa się stacja kolejowa położona nieopodal. Przeszła do historii tak samo jak słynne Lipce Reymontowskie.

\* \* \*

Kostomłoty to długa wieś; mamy Kostomłoty I i II. Wzgórza też mają swoje nazwy, których próżno by szukać na jakichkolwiek mapach: Sztachetna w Laskowej (dziwna nazwa), potem Wałkowe Góry, Górki Właściwe, Buchcina Góra, Góra Jaśkowskich oraz Góra Kapliczna z Kaplicą Przemienienia Pańskiego ufundowaną w 1816 roku. Pięknie dziś odnowiona. W dole od strony północnej biją od wieków niewielkie źródła, które zasilają Sufraganiec. Tam również znajduje się „Święty Gaj” z figurą Św. Jana z końca XVIII w.

Grzęda Kostomłocka jako pasmo wzgórz to nic więcej jak dno morza dewońskiego, którego regularne kamienne, półkoliste warstwy uległy powyginaniu w okresie karbonu na skutek zderzenia kontynentów Gondwany oraz Laurosji. Leżą więc Kostomłoty na dnie odległego o miliony lat morza. Odsłonięto to dopiero po otworzeniu kopalni kamienia i rabunkowym wykorzystaniu trzech wzgórz. Zdjęcie ściany pofałdowanych warstw otwiera rozdział o geologii Polski w wydawnictwie „Ilustrowany Atlas Polski”. (Wydawnictwo Readers Digest, 2005 r. str. 14). Jakaż to nieodżałowana szkoda, że tych wzgórz prawie nie ma, a zostały z nich żalosne szczątki. A wydobyty stamtąd kamień poszedł jako podbudowa pod asfalt na anonimowe kawałki dróg w Polsce Południowej. Tyle nam zostało w Kostomłotach z dewońskiego morza...

\* \* \*

Tak od Wiernej Rzeki docieramy przez piękną Dolinę Wilkowską do Św.

Katarzyny i początku Puszczy Jodłowej. Po drodze mijamy „góry domowe” młodości Stefana: Klonówkę (473 m n.p.m.), Radostową (451 m n.p.m.) i Kamień (469 m n.p.m.). Przy kapliczce w Św. Katarzynie, na początku szlaku na królową Gór Świętokrzyskich Łysicę (611 m n.p.m.) i słynne Gołoborze, oglądamy wyryte nazwiska młodego Stefana i jego kolegi Janka Stróżeckiego, którzy prawdopodobnie końcem ułamanej klinogi od szabli wyryli tu swoje nazwiska; co miało po wsze czasy przypominać, że w 1882 r. byli uczniami gimnazjum kieleckiego. Tu zaczynali swój szlak poprzez Puszcę Jodłową. Zanurzali się w dziewiczy las, gdzie w starszych partiach panuje półmrok. Rosną tam jodły olbrzymy, do których objęcia potrzeba splotu trzech dorosłych osób. Tam, gdzie las jest rzadszy i bardziej prześwietlony, widać zarośla malin, jeżyn i olbrzymie paprocie. Leżą tam stare, zmurszałe pnie drzew obalane przed laty przez wichury. Na ich szczątkach wyrastają nowe, prezentujące nowe życie. Tak właśnie wygląda droga krajobrazowa młodego Żeromskiego od miejsca urodzenia przez dzieciństwo i wczesną młodość, zanim na dobre nie wybrał się na pobieranie nauk do prowincjonalnych i zapomnianych przez Boga Kielc (Klerykowa, Obrzydłówka, Łżawca z powieści Żeromskiego). Mocno trzymany w szponach carskiego „systemu”. Ale to już inna opowieść: „Syzyfowe prace”.

\* \* \*

Nigdy nie byłem, podobnie jak Żeromski, orłem z matematyki. Można powiedzieć nieco więcej: nie znosiłem matematyki od najmłodszych lat. Ten stan się pogłębił, kiedy stałem się w 1962 r. uczniem Liceum im. Jana Śniadecznego w Kielcach. Słynny „Śniadek”

prezentował dość wysoki poziom. Nie będę tu niesprawiedliwy wobec zacnego i cenionego grona pedagogicznego, że zdarzały się wyjątki, które do dziś sniemy się po nocach. Tym wyjątkiem była moja pani od matematyki – pani profesor G. Dziś to mogę prawie bezstronnie ocenić, ale delikatnie mówiąc nie nadawała się do grona pedagogicznego tego zacnego liceum. Nie była talentem pedagogicznym w pełnym tego słowa znaczeniu. Jej powiedzonka i lapsusy językowe oraz wszelkie niezręczności wynikające z sierniężnego języka krążyły w odpisach. Proszę o wybaczenie, ale inaczej tego określić nie mogę. To obrzydziło mi matematykę do końca życia.

\* \* \*

Ubezważniony przez Żeromskiego, postanowiłem przeczytać wszystko co napisał. I zabrałem się do tego metodycznie. Wynosiłem z naszej szkolnej biblioteki w liceum im. Jana Śniadeckiego w Kielcach co jakiś czas po kilka tomów i rzucałem się na nie z niecierpliwością właściwą dla kilkunastolatka. Połykałem je jeden po drugim, choć ich zawartość mnie olśniewała, albo lekko zawodziła. Pomimo to brnąłem wytrwale przez dzieła wybrane pisarza. Pani bibliotekarka patrzyła z lekkim zdziwieniem na moje zapędy, ale ich nie komentowała. A ja pławiłem się w Żeromskim.

Na pierwszy rzut poszły „Dzienniki”, dzieło na wpół skandalizujące i prawie zakazane. Sam Żeromski godził się na ich wydanie w pięćdziesiąt lat po swej śmierci. Zakaz złamano. Spółdzielnia „Czytelnik” wydała „Dzienniki” w kilku tomach w latach 1953-56, a więc w trzydziestolecie śmierci pisarza.

Pochłaniałem je zaborczo nie bacząc na zarywane noce i koszty takiej edukacji. Z wypiekami na policzkach leciałem

jak ptak przez kolejne strony. Pisarz zaczął je pisać w r. 1882 ( miał więc 18 lat), a zakończył w r. 1891 jako człowiek 27-letni. „Dzienniki” są różnie oceniane, jako wprawki literackie po „utwór uwypuklający najpiękniejsze strony jego piarstwa” ( Kazimierz Wyka). To rzeczywiście niebagatelne źródło wiedzy o pierwszych próbach literackich, miłościach i fascynacjach erotycznych, a także dokument smutnego losu korepetytora wędrującego od dworu szlacheckiego do innego dworu przez kilka lat, w pobliżu Klimontowa, Stopnicy i Sandomierza. To prawie zapis atmosfery tamtego czasu. W tym czasie młody Stefan przeżył nie tylko fascynację i pierwszą miłość do Biruty, ale także uwikłał się na kilka lat w grzeszny romans z Heleną. Było to u schyłku gimnazjum. Miał już wtedy 21 lat. Kontakty z rodziną były prawie zerwane i pozostawał sam. Uczucie zawładnęło Stefanem i wypełniło pustkę samotności.

Helena Radziszewska (z Zeithemów) była młodszą siostrą Antoniny Żeromskiej. Była żoną Leona Radziszewskiego, jak się wówczas mówiło naczelnika stacji (raczej zawiadowcy) w Mińsku Mazowieckim. Żeromski często bywał w ich domu i stało się to, co było przewidywalne. Pani Helena bowiem często zjeżdżała do Kielc do swej siostry i stała się, chcąc czy nie chcąc, jedyną powiernicą młodych oraz chroniła ten niebezpieczny romans przed całym światem, pasierba z rodzoną córką zamężnej siostry. Miłość ta wywarła ogromne wrażenie na młodym pisarzu. Romans ten, nawiązany prawdopodobnie w r. 1885 podczas pobytu u państwa Radziszewskich, przeciągnął się na kilka lat i stał się przyczyną głębokiej rozterki młodego Stefana. Echa tej namiętności będą się przejawiać przez karty jego wielu powieści.

Tym bardziej że Helena, kobieta trzydziestoletnia, była u szczytu swej kobiecości, wdzięku i uroku. Była jedyną osobą, która zapełniała pustkę i dążenie do odrobiny szczęścia Stefana. Wiele opisanych przez niego późniejszych scen erotycznych było zaczerpnięte z tej miłosnej udręki. Żeromski zdawał sobie sprawę z dwuznaczności swego położenia, ale też nie mógł się przez lata wyrwać z tego kręgu zauroczenia. Jak wyznaje, wszystkie jego idealne porywy i chęci zerwania tego związku spełzały na niczym i „że nie potrafi już nigdy nikogo pokochać tą dziecinną, czystą, krystaliczną miłością dwudziestu lat”. To wyjątkowe wyznanie w życiu pisarza.

\* \* \*

Potem bywało różnie. Przebijałem się przez „Dumę o hetmanie”, (rok wydania 1908), „Opowieść o Udałym Walgierzu” (1905), „Aryman mści się” (1901), oraz „Sen o szpadzie” (1905). Ale to nie było dla młodego chłopaka. Odmianę wprowadziły dopiero opowiadania, które Żeromski pisał przez całe życie.

Żeromski swymi opowiadaniem przebił się do polskiej świadomości. Miał talent do krótkich form literackich. Jak to napisał kiedyś – „obrazków”. Pierwsze pojawiły się w okresie „wędrówki korepetycyjnej” po szlacheckich dworach Kielecczyny i Sandomierszczyzny. Aż po Lubelskie i Podlasie. Był już wtedy po trudnym epizodzie warszawskim, kiedy to podjął studia weterynaryjne w Warszawie i przerwał je będąc dosłownie bez środków do życia, a nawet na przeżycie. Czas ten to obserwowanie szlacheckich dworów, stanowiących potem kapitalny materiał do opowiadań. Był wszak szlachcicem i zasiadał z gospodarzami przy wspólnym stole. Widział ograniczenie i tępotę szlachty, życie nieosłonięte przed głupotą, ale maskowane dobrymi

manierami. Życie, które pod pozorem codziennej ogłady stanowiło drażniącą pustkę, przyziemność i zakłamanie moralne. Obserwował kobiety piękne i rozpusztne, nie usiłujące nawet niczym przesłonić swego zainteresowania przystojnym nauczycielem. Także wszechogarniającą biedę ludu. To był materiał dla jego opowiadań. Miał wtedy 25 lat.

Pierwsze opowiadania, nie licząc prowadzonych „Dzienników” nie przeznaczonych do druku, powstały właśnie w tym okresie. Były to: „Pod pierzyną” (1889), zawierające opis podróży z Oleśnicy do Katuszowa oraz „Zapomnienie”, napisane w Stopnicy latem 1889 r. i opublikowane w „Głosie” w 1991 r., oraz „Ach gdybym kiedy dożył tej pociechy...” (1889). Następnie przyszły: „Po Sedanie” i „Ananke” (1891), oraz „Siłaczka” napisana w Nałęczowie i opublikowana w r. 1891. Nieco potem powstał „Doktor Piotr”, napisany w 1993 r. i opublikowany rok później. Po „Siłaczce” przyszły m.in.: „Niedziela” (1892), „Źródło” (1892), „Zmierzch” (1892), „Oko za oko” (1893), „Mogiła” (1894), „Niedobitek” (1894), „Rozdziobią nas kruki, wrony...” (1894), „W sidłach niedoli” (1895), „Pocałunek” (1895).

Opowiadania i obrazki Żeromskiego były drukowane w pismach literackich, najczęściej w „Głosie”. Ale nie tylko, m.in. w „Nowej Reformie” i ludowym „Zaraniu”. Wieczna chwała należy się profesorowi Stanisławowi Pigońowi, który uporządkował ten wczesny i nie tylko dorobek literacki, opracowując wydanie zbiorowe dzieł Żeromskiego na pięćdziesięciolecie śmierci pisarza, przypadające w roku 1974. Wielki to trud przebijać się przez spuściznę Żeromskiego. Poszczególne opowiadania były drukowane osobno, a znaczna później wydawane w zbiorach przez

różnych wydawców; np. utwory napisane po 1894 roku weszły w skład tomu drugiego, z 1901 r. Niektóre wydania Żeromski sam poprawiał i tylko po tym można się zorientować w ich kolejności.

Wcześniej powstały utwory powieściowe: „Na pokładzie” i „Kara” pisane przed wyjazdem pisarza z Raperswilu i Szwajcarii (1893), „O żołnierzu tułaczem” (ukończonym w Lucernie” w 1896), „Tabu” (po powrocie z Raperswilu, 1896) i „Promień” (1898).

W „Śnie o szpadzie i śnie o chlebie” zawarte zostały oprócz tytułowych, krótkich, „Snu o szpadzie” i „Snu o chlebie”, m.in. „Nokturn” (powstały we Włoszech w 1906 r.), „Nagi bruk”, „Zemsta jest moją”, „Nulla”, „Echa leśne” (1904), „Wszystko i nic” (zamierzone jako kontynuacja „Popiołów”, napisane w 1912 r. i wydane w „Zaraniu” w 1913), „Pomyłki” (Pomyłki, Złe spojrzenie, Pavoncello), „Opowiadanie zebrane” (m.in. „Wybieg instynktu” (1920) i „Wilga” (1925) oraz ostatnie opowiadanie pisarza „Puszcza Jodłowa”, powstałe w 1925 r. tuż przed śmiercią pisarza.

Opowiadania ugruntowały pozycję Żeromskiego jako pisarza. Stał się znany. Ale sławę przyniosły mu dopiero „Popioły”.

„Duma o hetmanie” nie przekonała mnie. Jej bohaterem jest hetman Stanisław Żółkiewski. Tekst traktuje o tym, że patriotyczny obowiązek powinniśmy wykonać do końca, pomimo absolutnej klęski. To może wzniosłe przesłanie, mówiące wiele o Żółkiewskim, który tchórzostwo szlachty przyplacił własnym życiem, pozostając do końca na posterunku.

\* \* \*

„Opowieść o Udałym Walgierzku” (1905) jako zbiór krótkich przypowieści też nie za bardzo przemawiała do

mnie. Również „Aryman mści się” (1901) nie wywarł na mnie większego wrażenia. Zagadnienie konfliktu między ideałami i moralną doskonałością a urodą życia były dalekie ode mnie. Tak samo daleko była teza o utwierdzaniu się narodu w swej samowładzy i potędze poprzez cierpienie. „Sen o szpadzie” był bardziej komunikatywny, bo to zbiór opowieści o różnej tematyce, od „Snu o szpadzie”, przez „Nagi bruk” i „Koturn”, aż po opowieść o Francesco Nullo. Trylogia: „Wisła”, „Wiatr od morza” i „Międzymorze” też mnie zawiodła. Być może była za trudna dla kilkunastoletka. Historia Polski nad morzem była dla mnie dość odległa. Niemcy, germanizacja i wiele innych morskich problemów Rzeczypospolitej stało się dla mnie jasnymi dopiero w czasie studiów historycznych.

\* \* \*

W gimnazjum w Kielcach (osławionym Klerykowie) Żeromski przebywał od roku 1874 do 1886. Zaczynał je mając raptem 10 lat, a kończył jako człowiek dorosły w wieku 22 lat! Toż to cała epoka w życiu młodego chłopaka odebranego od ciepła rodzinnego, ogarniętego dojmującą samotnością. Ukochana matka pisarza Józefa Żeromska zmarła w 1879 r., kiedy młody Stefan miał niespełna 15 lat. Odczuł to ogromnie. Przywiązanie do matki było istotą jego wrażliwej duszy, a jej odejście pozostawiło nigdy nie zabliznowaną ranę.

Gimnazjum kieleckie w Klerykowie (jak nazwał to miasto pisarz w „Syzyfowych pracach”), było oczywiście rosyjskie z rosyjskim językiem wykładowym. W szkole zabronione było mówienie po polsku, choć język polski jako nadobowiązkowy był wykładany w szkole. Ale ograniczało się to poważnie do tłumaczenia tekstów polskich na język rosyjski. Były one odpowiednio

wypreparowane, pozbawione jakichkolwiek patriotycznych akcentów. Kadre szkoły oraz jej kierownictwo stanowili nauczyciele rosyjscy. Był to element drugiego rzutu, przysyłany do „Priwislenskogo Kraju”, podobnie jak jego administracja do przyspieszonej rusyfikacji powostaniowej. Dyrektorem gimnazjum był Siewierian Woronkow, nauczyciel łaciny, „brutalny impertynent i nieokrzesany gbur, ze szczególną satysfakcją besztający w obecności uczniów profesorów Polaków” (tak go charakteryzuje profesor Hutnikiewicz). Byli również zatrudniani nauczyciele Polacy, ale stanowili oni bezbarwne tło. Oprócz uwielbianego przez młodego Żeromskiego nauczyciela polskiego Gustawa Bema oraz... ks. Teodora Czerwińskiego, który twardo walczył o sprawy religijne, ale imponował odwagą cywilną i śmiałością swoich kazań nie pozbawionych patriotycznych aluzji.

Profesor Gustaw Bem pierwszy zwrócił uwagę na talenty literackie Stefana Żeromskiego. Po cichu kibicował jego pierwszym próbom literackim, ale był też ich życzliwym krytykiem. A młody Stefan „wyzywał się” w rozlicznych formach literackich, będąc przy tym zwolennikiem różnych prądów umysłowych oraz takich bohaterów jak Cola di Rienzo, Savonarola i Jan Hus, dusz niezależnych, przywódców ludu, którzy okupili swoje poglądy śmiercią męczeńską.

Żeromski od najmłodszych lat pochłaniał ogromną ilość książek. Czytał wszystko, co wpadło mu w ręce, a miał dostęp do literatury światowej przede wszystkim w języku rosyjskim. W zestawie lektur pisarza zderzały się dzieła z różnych okresów i specjalności. Od utworów literackich, polskich i obcych, poprzez monografie historyczne, książki z dziedziny filozofii i nauk społecznych,

po opracowania z dziejów kultury i pamiętniki. A więc obok „Życiorysu Kościuszkowski” Falkensteina i „Dziejów Polski” Lelewela „Główne prądy literatury europejskiej XIX stulecia” Brandesa”, „Podróż po Włoszech” Hipolita Taine’a, „Historia cywilizacji w Anglii” Tomasza Buckle’a, po... „Małżeństwo pod względem fizjologii i higieny z dołączeniem uwag dietetycznych nad wychowaniem niemowląt” Augusta Debay’a. Przeważały jednak pozycje ważne, cenne i pobudzające młody umysł.

\* \* \*

Żeromscy nie byli na Kielecczyźnie ludźmi obcymi. Rodzina osiedliła się tam już pod koniec XVIII wieku. Ojciec pisarza Wincenty Żeromski urodził się w r. 1819 w Lasochowie koło Małogoszcza. Był niezłe wykształcony, jak na owe czasy, w krakowskim liceum im. Świętej Anny. Odebrał też edukację rolniczą. Nie był więc jako ziemianin – dzierżawca w pierwszej połowie XIX w. osobą przypadkową. Był przy tym człowiekiem łatwym w obyciu, a nawet wesołym i towarzyskim. Niektórzy twierdzą, że nawet uroczym szalawilą. Jednocześnie cechowała go zarliwość patrioty i stale widoczny romantyzm. To pozostawiło trwałe ślad na wychowaniu młodego Stefana. Rodzina Żeromskiego tkwiła korzeniami w działalności patriotycznej. Jego pradziad Jan brał udział w Insurekcji Kościuszkowskiej i musiał uciekać do Galicji. Jego syn Kajetan w szesnastym roku życia przedarł się przez Pilicę do Księstwa Warszawskiego, a w 3 Pułku Ułanów gen. Dziewanowskiego dosłużył się stopnia kapitana. To prawdopodobnie pierwowzór Rafała Olbromskiego z „Popiołów”. Po klęsce Napoleona zesłany na Kaukaz po powrocie wziął udział w wojnie polsko – rosyjskiej 1831 r. Także w dramacie powstańcym 1863-64

Żeromscy wzięli czynny udział. Jeszcze przed wybuchem Powstania Styczniowego rodzina Żeromskich wspierała aktywnie przygotowania partyzanckie gromadząc zapasy żywności i odstawiając je do punktów zbiorczych. Za to Wincenty Żeromski przesiedział nawet parę miesięcy w kieleckim więzieniu.

Masyw Świętokrzyski był bowiem naturalnym bastionem działań partyzanckich słynnych dowódców powstania: Mariana Langiewicza, Józefa Hauke-Bosaka i Dionizego Czachowskiego. A działania wojenne toczyły się na terenie od Małogoszcza po Łysicę, od Bodzentyna po Opatów i Staszów, czyli w całym kompleksie Gór Świętokrzyskich, w sąsiedztwie Strawczyna, Psar, Ciekot i Puszczy Jodłowej. Ileż tych wspomnień pozostało w imaginacji pisarza i znalazło się na kartach jego opowiadań i powieści!

\* \* \*

Pani Maria Rychter, moja polonistka z liceum im. J. Śniadeckiego w Kielcach, była osobą średniego wzrostu, szczupłą i zawsze elegancko ubraną (któż to wtedy słyszał o czymś takim jak eleganckie dwuczęściowe kostiumy w stonowanym lekko granatowym kolorze), której bali się wszyscy w mojej klasie. Nie wiadomo dlaczego. Dopiero potem doszedłem do wniosku, że bali się jej ci, którzy grzeszyli nieuctwem lub nie dorastali do poziomu prowadzonych przez nią lekcji. Była absolwentką Uniwersytetu Warszawskiego i nie wiem dlaczego trafiła do kieleckiego liceum. W każdym razie był to znakomity wybór ze strony władz szkoły. Pani profesor Rychter miała wprost intuicyjne wyczucie, na co kogo stać, jeśli chodzi o język polski. Dlatego też była wyjątkowo sprawiedliwa w ferowaniu ocen. Dla niej nie było uczniów wечно niedostatecznych, dostatecznych albo dobrych i bardzo dobrych. To

wszystko byli uczniowie, którzy czynili postępy lub nie. A jeśli nawet nie czynili, ponieważ z różnych powodów nie byli w stanie, zyskiwali i tak cień sympatii w ocenie pani profesor. To rzadki pedagogiczny dar. Otaczać sympatią nawet tych najsłabszych.

Wobec najlepszych pani profesor był nieubłagana i konsekwentna. Nie twierdzę, że byłem najlepszym, ale jak wpadłem w „młyn” pani profesor, tak się z niego nie wyplątałem aż do matury. Pani profesor Rychter nie odpuszczała mi na żadnym kroku. Z trudem czołgałem się na ocenach dostatecznych (czasem wyższych) ze względu na moją nieprzewidywalną dolegliwość: błędy ortograficzne. Każde moje wypracowanie lub praca klasowa poprawiane przez panią profesor miało tę samą mini recenzję: „Praca byłaby dobra, gdyby jej poziomu nie obniżały błędy ortograficzne”. I tu następowały w naszej klasie rzeczy niebywałe. Pani profesor miała zwyczaj odczytywania przed forum całej klasy najlepsze prace. Ku mojemu bezmiernemu zdumieniu były to moje prace. Byłem dumny i niespodziewanie wyróżniony. Ale na ziemię sprowadzała mnie recenzja i ocena: dostateczny.

Pani profesor Rychter miała zwyczaj przeprowadzać co jakiś czas prace klasowe. Wszyscy mieli specjalne zeszyty do takich prac. Popłoch wywoływało wejście do klasy pani profesor ze stertą zeszytów do wypracowań. A terminy nie były wcześniej zapowiadane. Pani Rychter zadawała zawsze dwa tematy z przerobionego materiału, czyli historii literatury, przerabianych lektur i wreszcie temat trzeci, czyli wolny, gdzie można było pisać, co się chce. Było to chytre posunięcie, ponieważ piszący temat wolny padali ofiarą (najczęściej) swojego nieuctwa z gramatyki i ortografii.

Otóż temat wolny nagminnie wybierałem zawsze ja. Kończyło się to jak zawsze: poległ bohatersko na polu chwały. Ale dziwnym trafem obie strony były zadowolone: pani Maria zawsze chwaliła i odczytywała moje wypracowanie na forum klasy, a ja wpadałem w zasłużoną dumę. A w szkole i tak chodziłem w chwale klasowego „pisarza i poety”. Doszło do tego, że nawet porywałem się na tłumaczenie wierszy Horacego i Owidiusza – i to w formie rymowanej.

Tak to trwało aż do matury. Na niej poległem podwójnie z własnej winy i powtarzanych błędów. Wybrałem temat z romantyzmu, bodajże dotyczący bohatera romantycznego. Mogłem pisać o tym na kopy, prezentując dowolne przykłady z literatury. Ale poległem jak zwykle na ortografii. Napisałem bowiem siedem razy słowo „tęsknota” przez „en”. A już za trzy błędy ortograficzne groziła ocena niedostateczna. Otrzymałem dostateczny, co odczułem jako upokorzenie. Pani profesor Rychter skwitowała to krótkim stwierdzeniem: „Widocznie za dużo „tensknisz”. Taką ocenę też mam na świadectwie maturalnym. Obok dostatecznej z matematyki.

\* \* \*

Pierwszą znaczącą powieścią Żeromskiego byli „Ludzie bezdomni”. Książka została wydana w 1900 r. Napisana, jak piszą znawcy „jednym tchem” po powrocie Żeromskiego z Raperswilu i nieokreślonych planach osiedlenia się w kraju. Był już wtedy żonaty z Oktawią z Radziwiłłowiczów Rodkiewiczową, młodą wdową z kilkuletnią córką. Pani Oktawia była osobą o niezwykle patriotycznych przekonaniach, która w porywie tegoż osiemnastoletniego patriotyzmu wyszła za mąż za człowieka od niej o kilkadziesiąt lat starszego. Kiedy Żeromski ją poznał, była młodą wdową z dwuletnią córką. Dzięki kontaktom rodzinnym

miała dość liczne znajomości z postępową i patriotyczną inteligencją polską. W domu jej rodziców w Warszawie przy ulicy Hożej często bywali: Prus, Karłowicz i Witkiewicz. Sama pracowała przez pewien czas w redakcji „Wędrowca”. Była prawdziwym duchem opiekuńczym, odmienną od wszystkich kobiet, które pisarz spotykał. Jej uroda połączona z prostotą i dobrocią urzekła pisarza.

Próby urządzenia się pisarza po powrocie z rodziną z Raperswilu były dość niekreślone. Po krótkim pobycie w Tworkach (u dyrektora szpitala, którym był szwagier pisarza doktor Radziwiłłowicz), oraz w Nałęczowie, pisarz zamierzał się osiedlić w Kielcach, ale z tego nic nie wyszło. Miesiące niepewności spędził Żeromski u ciotecznej siostry Marii z Saskich Albrechtowej w Dąbrowie Górniczej, gdzie przyszedł mu do głowy pomysł napisania „Ludzi bezdomnych”. Potem postanowił wrócić do zawodu bibliotekarza i podjął pracę w tym charakterze w Bibliotece Ordynacji Zamoykich w Warszawie, której kierownictwo objął znany z czasów raperswilskich historyk Tadeusz Korzon. W 1897 r. rodzina Żeromskich przeniosła się do Warszawy i zamieszkała tuż przy bibliotece w oficynie Pałacu Błękitnego przy ulicy Żabiej. Zaczął się okres względnej stabilizacji. W tym czasie rozpoczęto drukować w *Nowej Reformie* „Szyfowe prace” (1898), pojawiły się „Utwory powieściowe”, w szybkim tempie powstawały „Ludzie bezdomni” oraz postępowy prac nad „Popiołami”. Żeromski był w ogniu wytężonej pracy literackiej pracując jednocześnie jeszcze nad dramatem „Grzech” i nad „Promieniem”.

\* \* \*

Wielki przełom stanowiły dla mnie „Popioły”. Film Andrzeja Wajdy wywołał

u mnie eksplozję niespotykanej radości i niespodziewanej zadumy. Był to bowiem rok 1965 i okres siermiężnej rzeczywistości i literatury. Oczywiście w mojej ocenie. Jednak było to coś, co pobudzało do myślenia i nowej refleksji historycznej, również dla historycznego wrażliwca jakim byłem. Te oceny mogą być niezupełnie sprawiedliwe. Ale młoda głowa chłonie wszystko jak gąbka. Szczególnie jeśli są to treści ożywcze i nowe. A tym nowym były „Popioły” Wajdy. To był powiew nowego i niezależnego myślenia o naszej historii, zwłaszcza tej romantycznej i pełnej nadziei jak epoka napoleońska. Dla młodego, rozlatanego i wrażliwego umysłu, a w takim stanie ducha przebywałem, już sama powieść Żeromskiego była wielkim odkryciem. Chłonałem jej karty w pośpiechu i nerwowym oczekiwaniu na coś nieokreślonego. W „Popiołach” Wajdy jest wszystko; epopeja napoleońska, powikłane dzieje Olbromskiego i Cedry, życie bezduszne szlacheckiego dworu, układność wobec zaborcy, wojna, krew, miłości, nienawiść oraz bieda i niedola chłopstwa. Ta wojenna również. Powieść jest pisana obrazami takimi jakie lubią scenarzyści i reżyserzy – nie muszą bowiem szukać i na siłę narzucać własnej dramaturgii. Ważna jest jakość i wyrazistość obrazu powieściowego. I oczywiście właściwe zrozumienie idei. Film został nominowany do nagrody Złotej Palmy na Festiwalu Filmowym w Cannes i wziął udział w konkursie głównym.

Ogromnie zainteresowała mnie warstwa historyczna „Popiołów”. Wszak to panorama dziejów narodu na przełomie wieków, które zadecydowały na prawie sto lat o mapie Europy (Kongres Wiedeński – 1815 r.). W powieści Żeromskiego na plan pierwszy wysunęły się motywy wojenne. Pisarz był przecież zdecydowanym zwolennikiem walki zbrojnej, którą

w zawołowany sposób przeciwstawił ideologii politycznej ugody i służalczej kapitulacji. Mamy tu sceny bitewne z kampanii włoskiej Napoleona roku 1797, i udział w niej Legionów polskich pod wodzą Dąbrowskiego, pod sztandarami Republiki Lombardzkiej, dalej tragiczne losy tychże żołnierzy po zawarciu pokoju z Austrią w Luneville. Napoleon postanowił cynicznie pozbyć się elementów polskich wysyłając resztki Legionów do tłumienia powstania na wyspie San Domingo. Następnie mamy opisy wojny francusko-pruskiej roku 1806, powstanie Księstwa Warszawskiego w 1807 r. i kampanię polską przeciw Austriakom w roku 1809. To ta słynna scena z powieści i filmu, kiedy książę Józef prowadzi starych wiarusów w bitwie na bagnety pod Raszynem, ćmiąc przy tym nieodłączną fajkę. To wreszcie obraz o losie Polaków przy boku Napoleona w kampanii hiszpańskiej w 1808 r., kiedy wykrwawiają się przy zdobywaniu Saragossy widząc w tym wojnę niesprawiedliwą. Stąd sugestywne sceny z rzezi Saragossy przy udziale polskich żołnierzy i równie symboliczny obraz i w powieści, i w filmie zamordowania kapitana Wyganowskiego. Co ciekawe, Żeromski opisując wojnę hiszpańską pomija tak bardzo zasiedziały w tradycji historycznej Polaków słynny atak konnicy polskiej w wąwozie Somosierry, otoczony czią dla bohaterstwa polskiego żołnierza. Są za to: mordercza walka i rzeź ludności cywilnej broniącej się Saragossy, jęki konających i rannych oraz dymy pożarów. To tam Cedro zdaje się pozostawać na progu szaleństwa widząc tę niesłychaną grozę wojny.

\* \* \*

Postanowiłem napisać o tym pani Marii Rychter w czasie najbliższej pracy

klasowej. Był to tak zwany imperatyw katagoryczny. I napisałem. Co z tego wynikało, już dokładnie nie pamiętam. Patriotyzm „Popiołów” Żeromskiego i patriotyzm w filmie Wajdy wymieszał mi się w jedno i nie bardzo wiedziałem, jak te dwie rzeczy oddzielić. Pani Maria to oddzieliła. Ale efekt był taki sam jak zwykle. Praca została odczytana przed całą klasą i nawet pochwalona. I dalibóg, oceny już nie pamiętam. Dedykuję te wspomnienia Pani Marii. Ona to wszystko wtedy wiedziała. I o mnie też wiedziała więcej niż ja sam.

\* \* \*

Wydane w 1904 roku „Popioły” odniosły sukces. Żeromski nie był już młodzieniaszkiem, skończył bowiem 40 lat. Sukces powieści pozwolił mu na wzmocnienie swojej pozycji literackiej i samodzielność finansową. Mógł porzucić swe obowiązki biblioteczne ograniczające swobodę pisarską i również zająć się swoim zdrowiem, ciągle wymagającym wzmoczonej czujności. Wyjechał więc z rodziną z Warszawy i wybrał na miejsce swego pobytu Zakopane. Górski klimat pozytywnie wpływał na chore płuca. Przy tym Zakopane było modne. Tworzyli tam i mieszkali: Tytus Chałubiński, Witkiewicz, Asnyk, Tetmajer i Kasprowicz. Nie bez znaczenia był fakt, że wszyscy, którzy uchodzili z różnych powodów z zaboru rosyjskiego, osiedlali się w Zakopanem. Była to nieoficjalna stolica kulturalna kraju, gdzie każdy „zagrożony” z powodu działalności patriotycznej w Kongresówce znajdował swój azyl. A był to czas ważnych wydarzeń rewolucyjnych 1905-1907 r. i wojny rosyjsko-japońskiej, która obnażyła wszystkie słabości carskiej Rosji. Żeromski mocno przeżył wydarzenia rewolucyjne 1905 r., a jeszcze bardziej ucieczkę literatury od zagadnień społecznych i zajmowanie

się jedynie „estetyzmem”, mistycznymi zwodzeniami i fantastycznymi rojeniami. Żeromski był gorącym zwolennikiem PPS, a wyniesione z domu tradycje i wspomnienia powstańcze nigdy go nie opuszczały. Chwilowa odwilż po wydarzeniach 1905 r. spowodowały, że pisarz powrócił do swego Nałęczowa. Brał udział w posiedzeniach i pracach politycznych i partyjnych PPS i współpracował z członkami partii: Gustawem Daniłowskim i Wacławem Sieroszewskim. W tym czasie powstało kilka utworów poświęconych rewolucji: „Sen o szpadzie” (1905), „Nagi bruk” (1906), „Nokturn” (1907) i „Róża” (1909). Ale jednocześnie bał się rewolucji i jej siły niszczycielskiej, choć nie porzucił swej wrażliwości społecznej.

W 1906 r. wyjechał z Nałęczowa. Podróż spowodowana była chorobą siedmioletniego syna Adama i zaleceniami przebywania w bardziej przyjaznym klimacie. Państwo Żeromscy zatrzymują się najpierw w Lozannie, po czym ruszają w 1907 roku na południe: poprzez Mediolan, Florencję, Rzym, Neapol, aby dotrzeć na Capri. Ta podróż również ukołała skolatanie zdrowie pisarza i pozwoliła na zebranie nowego materiału pisarskiego. Na Capri przebywali wtedy Maksym Gorki, szwedzka pisarka Ellen Key oraz polska poetka Maryla Wolska. Pisarz nawiązał z nimi stosunki towarzyskie i literackie. Jednak w 1907 roku powrócił do kraju. Znowu do Zakopanego, gdzie było znacznie bezpieczniej niż w Kongresówce. Tam powstały „Dzieje grzechu”. Było to znaczne odejście od tematyki powieści społecznej. Ale tylko pozorne.

Już sam tytuł powieści zapowiadał intrygujące wątki, również erotyczne. Część krytyków oskarżała wręcz pisarza o szerzenie pornografii i powodowanie zgorznienia.

\* \* \*

Jesienią 1909 r. państwo Żeromscy wyjechali do Francji zamierzając się tam zatrzymać na dłużej. Ich pobyt potrwał tam trzy lata. Zamieszkali w Paryżu, gdzie dziewięcioletni syn Adam zaczął uczęszczać do francuskiego liceum. Wakacji spędzali najczęściej na francuskiej prowincji, na Południu i w Bretanii. Odwiedzili także Londyn i kilka atlantyckich portów.

Z pobytu we Francji Żeromski odniósł kilka korzyści: m.in. zapoznał się z syndykalistyczną ideologią Sorela (będzie pod jej wpływem przez długi czas). Nawiązał kontakty z polską emigracją nad Sekwaną (najbardziej znani to Artur Górski, Wacław Sieroszewski, Władysław Reymont i Andrzej Strug) oraz, co było najbardziej cenne, zapoznał się z dorobkiem klasyków francuskiej powieści realistycznej: Balzakiem, Stendhalem i Flaubertem. Zaowocowało to wprowadzeniem do własnej twórczości większej dyscypliny pisarskiej i rozpoczęło jakby „ujarzmianie żywiołu” i przezwyciężanie własnych nawyków, które rodzima krytyka wypominała mu najbardziej: zbytniej uczuciowości, liryzmu i barokowej bujności słowa. Owoce będą widoczne w najbliższych utworach.

W 1910 r. powstał dramat „Sułkowski” o „oficerze największych nadziei”, który talentem i uzdolnieniami miał dorównywać samemu Napoleonowi. Jego przedwczesna śmierć w czasie kampanii egipskiej Napoleona przekreśliła te nadzieje. Mimo wspaniałych i wzruszających scen dramat ten nie jest najwyższym osiągnięciem pisarza. Znacznie większą wartość posiadała napisana tuż po nim w roku 1912 „Uroda życia”. Traktuje ona, mówiąc najkrócej, o historii budzenia się świadomości narodowej głównego bohatera Piotra Rozłuckiego,

zruszczonego Polaka, oraz o jego drodze po odnalezieniu właściwej ojczyzny, o szukaniu swego miejsca w tym nowym świecie. Rozłucki jako syn powstańca rozstrzelanego w powstaniu, wychowany w petersburskim korpusie kadetów, zostaje odkomenderowany służbowo do prowincjonalnego garnizonu w „Priwislenskim Kraju”, gdzie jak ogromna ilość „ludzi ruskich”; ma za zadanie umacniania carskiej władzy i zatarcie wszelkich śladów po polskiej „rebelii”. I tu zaczyna się niespodziewany dramat młodego oficera, nieoczekiwana metamorfoza i pojawienie się tłumionej przez lata polskiej tożsamości i tradycji. Jest to dla niego szok. Przy tym Rozłucki ulega podobnie jak Judym duchowemu rozdarciu. Z jednej strony pozostaje pod przemożnym wpływem młodzieńczego patriotyzmu (odkrycie mogiły ojca – powstańca), a dążeniem do pełnej „urody życia”, która emanuje ze związku z Tatianą, piękną (jak wszystkie kobiety u Żeromskiego) córką Rosjanina, dowódcy garnizonu generała Polenowa. Jej obecność w życiu Rozłuckiego niesie obietnicę kosztowania zakazanego owocu. Tragiczna śmierć rosyjskiej piękności stanowi zwrotny punkt w życiu bohatera. Tom drugi powieści to już elementy palenia po kolei wszystkich mostów między na zawsze zamkniętą przeszłością i wędrówką przez polskie piekło narodowych traum.

\* \* \*

Pod koniec pobytu pisarza we Francji mijała pięćdziesiąta rocznica wybuchu powstania styczniowego. Uczcił ją nową powieścią „Wierna rzeka” (1912), która staje się rocznicowym wspomnieniem niedoli narodu porywającego się na kolejną walkę o niepodległość. Dyskusji o sensie powstań, które w przededniu zbliżającego się konfliktu pomiędzy

zaborcami nabrała nieoczekiwanej aktualności. Część Polaków gotowa była na wypadek tego konfliktu poprzeć Polską Akcję Narodową, której przewodził Józef Piłsudski. Pisarz pyta nie tylko o sens walki, ale również polemizuje z tendencjami lojalistycznymi tak popularnymi w Galicji.

To jedna z lepszych powieści w dorobku literackim pisarza. Jej osnową jest romans księcia Józefa Odrowąża i zubożałej szlachcianki Salomei Brynickiej. Do jej dworu w Niezdołach trafia ranny powstaniec księżę Odrowąż, którego dziewczyna z narażeniem życia pielęguje i przechowuje. Ranny przybywa do dworu wprost z poboju bitwy pod Małogoszczem i zostaje przygarnięty przez śliczną (a jakże) pannę, mieszkającą na tym pustkowiu tylko ze starym kucharzem Szczepanem. Pod jej opieką

ranny powstaniec powraca do zdrowia. Stałym zagrożeniem dla dworu są tropiące „buntowników” oddziały rosyjskie, które przeczesują teren i urządzają stałe rewizje po dworach. Historia dzieje się na naszych oczach. To nieoczekiwane szamotanie się między patriotycznym obowiązkiem ratowania życia powstańca, a bezpośrednim zagrożeniem, z jakim ciągle boryka się Salomea Brynicka. W tej atmosferze rodzi się miłość Odrowąża i Salomei. Na przekór wszechobecnej śmierci i beznadziei.

„Wiarna rzeka” jest opowieścią o klęsce powstania i klęsce uczuć bohaterów. To znowu kolejny w twórczości pisarza opis tego samego tragicznego wyboru, między szczęściem osobistym i losami narodu. Trzeciego wyjścia nie ma. Przeznaczenie musi się dokonać.

cdn.

## Z WhatsApp'a (zamiast anegdot)

Autentyczne ogłoszenia parafialne:

- Cała wspólnota dziękuje chórowi młodzieżowemu, który na okres wakacji zaprzestał swojej działalności.
- Za tydzień Wielkanoc. Bardzo proszę wszystkie panie składać jajka w przedsionku.
- Pan Kowalski został wybrany na urząd kustosa naszego kościoła i zaakceptował ten wybór. Nie mogliśmy znaleźć nikogo lepszego.
- W niedzielę ksiądz rektor przewodniczył swej pożegnalnej mszy. Chór odśpiewał *Klaskajmy wszyscy w dłonie*.
- Z tablicy ogłoszeń. Dzisiejszy temat: Czy wiesz jak jest w piekle? Przyjdź i postuchaj naszego organisty.
- Po południu, w północnym i południowym końcu kościoła odbędą się chrzty. Dzieci będą chrzczone z obu stron.
- W czwartek o 16.00 Wspólne lody. Panie dające mleko prosimy przyjść wcześniej.
- W podziemiu panie zrzuciły wszelkiego rodzaju ubrania. Można je oglądać w każdy piątek po południu.
- W niedzielę nasza grupa teatralna zaprezentuje „Hamleta”. Jesteśmy zaproszeni do udziału w tej tragedii.
- W każdą środę spotykają się młode mamy. Na te panie, które pragną do nich dołączyć, czekamy w zakrystii w czwartki wieczorem.

DANUTA STOLAREK

## PAWEŁ I i JEGO DWÓR

Wiek XVIII był w historii Rosji jedynym okresem, gdy kobiety były w polityce postaciami pierwszoplanowymi. Przez siedemdziesiąt lat zasiadały na tronie. Niezależnie od oceny ich osobowości i stylu rządów trzeba uznać fakt, że reprezentowały Imperium.

Po roku 1796 nigdy w dziejach Rosji, ani ZSRR, a także w obecnym państwie rosyjskim kobiety nie miały takiej pozycji. Poprzez realizację dyrektywy Piotra I, by następcy tronu żenili się z biednymi niemieckimi księżniczkami dało się wyeliminować z życia dworu koterie i stronnictwa związane z rodziną carowej. Z drugiej strony sakralizacja osoby cara służyła stworzeniu wzorca – zarówno gdy idzie o instytucję władzy, jak i samego władcę. Poddani otrzymywali busolę. Wystarczyło nie za wiele myśleć, tylko patrzeć, akceptować i naśladować – w miarę możliwości.

Rola „niemieckiej małżonki” sprowadzała się do urodzenia co najmniej piątki dzieci, wśród których musiał znaleźć się następca (nie następczyni!) tronu. Gdy „niemieckie małżonki” wykonywały swą misję po myśli cara, ich rola w systemie władzy sprowadzała się do zaszczycania swą obecnością oficjalnych uroczystości państwowych tudzież dobroczynnych balów. Czy były szczęśliwe? Chyba tylko w ramach urzędowych norm tamtych czasów.

Pod dostojną, oficjalną fasadą dworskiego ładu i dyscypliny kryły się przecież liczne romanse, zdrady małżeńskie, skandale o podłożu erotycznym. Pełni

temperamentu Romanowowie chcieli wyrwać się z okowów wiecznego „trzeba” i „nie wolno”. Chcieli mieć choć namiastkę prywatności, wolności osobistej, uczuć niezależnych od aliansów politycznych. Nienawidzili narzuconej poprawności i bezdusznej etykiety.

W wieku XIX i w pierwszych latach wieku XX. Do końca dynastii Romanowów kobietami, o których dyskutowano

Ze wszystkich panujących za najwerniejszego małżonka uważano ostatniego cara, Mikołaja II, ale i za nim ciągnęły się grzechy młodości.

Kiedy oceniamy panowanie poszczególnych carów, o ich żonach mówimy tylko w kontekście działalności charytatywnej. O pikantnych szczegółach z życia carowych lub ich metres co najwyżej szeptano poufnie na salonach lub pisano w sekretnych pamiętnikach. Czasami opinie o życiu dworu można było przeczytać w raportach zachodnich dyplomatów, rzadko były obiektem poważnych analiz. Do dzisiejszych czasów przetrwały często sprzeczne, z reguły nie całkiem wiarygodne informacje. Prezentując sylwetki rosyjskich kobiet władzy trzeba wybierać te fakty, które znajdują potwierdzenie (choćby w szczegółach) w kilku źródłach. W pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku na dworze funkcjonowały kobiety urodzone jeszcze w poprzednim stuleciu, sprowadzone przez Katarzynę II z księstwów niemieckich i przewidziane do roli żon dla syna i wnuków. Metresy były głównie



Car Paweł I

rosyjskimi poddanymi. Podobnie rzecz się miała z kochankami carowych.

Wybór przyszłej żony, podobnie jak na innych dworach, był sprawą wagi państwowej. Tak traktowała zagadnienie także Katarzyna II.

Paweł do dzisiaj pozostaje jedną z bardziej kontrowersyjnych osobowości Rosji. Matka w swoich pamiętnikach pozostawiła bardzo krytyczną opinię o nim. Podobnie współcześni.

Był człowiekiem dobrze wykształconym, bardo czytany. Znana powszechnie była jego fascynacja etosem rycerskim. Jego ulubionym pisarzem był Cervantes. Carewicz każdą kobietę w swoim życiu traktował jak Don Kichot Dulcyneę. Co dziwne, sam najbardziej cenił platoniczne „przyjacielsko-siostrzane” związki. Nie da się ukryć, Paweł był wyjątkowo brzydki. Miał zaledwie 166 cm wzrostu. Jeżeli do tych cech dodać koszmarny charakter, porywczosć – otrzymamy niezbyt imponującą i sympatyczną całość. Mówi się, że jedyną ozdobą Pawła był status następcy tronu.

Caryca Katarzyna z typowo niemiecką pedanterią i konsekwencją przygotowywała Pawła do małżeństwa. Edukacja rozpoczęła się już w dwunastym roku życia carewicza. Pierwszą jego fascynacją była rówieśnica. Warwara Czelgokowa, sierota, wychowywana przez frejlinę Katarzyny.

Ten niewinny dziecięcy flirt był zaledwie nic nieznaczącym epizodem bez dalszego ciągu.

Gdy Paweł miał siedemnaście lat, Katarzyna izolując go od spraw państwowych, skupiła się na przygotowaniu go do życia rodzinnego. Rolę mentorki powierzyła dwudziestopięcioletniej frejlinie, młodej wdowie, córce generał-gubernatora Petersburga Uszakowa, Zofii Czartoryskiej. Związek ten zaowocował narodzinami Siemiona. Rzecz stała się w 1772 roku. Wnuk Katarzyny II otrzymał nazwisko Wielikij. Niemowlę odebrano matce, kształcono na koszt państwa. Siemion Wielikij jako dorosły mężczyzna służył w rosyjskiej i angielskiej flocie. W roku 1794 (mając dwadzieścia dwa lata) bohaterko zginął na Antylach. Matka Siemiona, Zofia w uznaniu swych zasług dla imperium została staraniem Katarzyny wydana bogato za mąż.

Poszukiwaniem narzeczonej dla syna Katarzyna zajęła się już w 1771 roku. Zgodnie z raz przyjętą koncepcją kontynuowano „wątek niemiecki”. Znów nieoceniony w tych sprawach okazał się „swat Europy” – Fryderyk II. Tym razem wybór padł na rodzinę jego bliskiej krewnej, margrabiny Karoliny Hessen-Darmstadt. Miała ona trzy córki: Wilhelminę, Luizę i Amelię. Mimo dumnych tytułów i wspaniałych koneksji rodowych, status materialny tej rodziny był bardziej niż skromny. Aby przyjazd matki z córkami mógł się odbyć i miał stosowną oprawę, Katarzyna przekazała do



Natalia Aleksiejewna Romanowa

Darmstadt sumę osiemdziesięciu tysięcy guldenów.

Księżna Darmstadt wraz z córkami i niewielką asystą przybyła do Rosji na pokładzie statku. Kapitanem tej jednostki był przyjaciel Pawła z młodych lat Andrzej Razumowski. Był to niezwykle przystojny i niezwykle zdemoralizowany lowelas, biegły w sztuce przygotowania rogów co bardziej naiwnym mężom. Efekty tej biegłości Razumowskiego miał również w niedalekiej przyszłości odczuć sam Paweł.

Do pierwszego, a zarazem decydującego spotkania Pawła z kandydatkami na narzeczone doszło w kwietniu 1773 roku w Gatchynie. Wybór Pawła padł ostatecznie na Wilhelminę. Była bardzo ładna, pełna wdzięku i... niemal wyższa o głowę od przyszłego oblubieńca. Co ciekawe caryca Katarzyna w pełni zaakceptowała wybór syna. Jej również spodobała się niemiecka kandydatka. Paweł zakochał się w Wilhelminie od pierwszego wejrzenia. Zaręczyny odbyły się w sierpniu. Narzeczoną przygotowywano do

przejście na prawosławie. Otrzymała imię Natalii Aleksiejewny. Fryderyk II z właściwym sobie sarkazmem skomentował ten fakt. Powiedział: „skatarzynowani Rosjanie dokonali natalizacji mojej krewnej...”

Wilhelmina otrzymała tytuł wielkiej księżnej wraz z pięćdziesięcioma tysiącami rubli rocznie na osobiste wydatki.

Ślub Pawła i Natalii Aleksiejewny odbył się we wrześniu w Soborze Kazańskim. Matka panny młodej dostała niezwykle kosztowne prezenty: złote monety, biżuterię z brylantami, cenne futra i inne kosztowności. Otrzymała także sto tysięcy rubli w gotowce i dwadzieścia tysięcy na drogę powrotną. Siostry Wilhelminy (Natalii Aleksiejewny) otrzymały po pięćdziesiąt tysięcy rubli w ramach obiecanego posagu. Doszło zatem do znamienego paradoksu: Katarzyna II kupiła synową bez posagu i szczerze wyposażyła jej matkę i siostry.

Jako się rzekło, Paweł był bez pamięci zakochany w młodej, pięknej żonie. Natalia Aleksiejewna żyła pełnią życia. Zorganizowała swój teatr pałacowy, w którym często odtwarzała pierwszoplanowe role – zarówno w tragediach jak i komediach. Często organizowała wystawne bale, wycieczki za miasto, wizyty na spektaklach baletowych. Paweł - dotychczas znany jako odludek – zaczął uczestniczyć w życiu towarzyskim. Zdawał się być szczęśliwy. Taki stan rzeczy był na rękę przede wszystkim Katarzynie II, gdyż Paweł pochłonięty przyjemnościami towarzyskimi nie przejawiał zainteresowania sprawami państwa. Katarzyna zatem mogła niepostrzeżenie coraz bardziej odsuwać go od rządzenia. Mogłoby się wydawać, że rola towarzyskiego pantoflarza bardzo odpowiada Pawłowi.

Natalia Aleksiejewna traktowała małżeństwo jak wygraną na loterii. Niegdyś

uboga księżniczka wiedziała jednak, że takie małżeństwo to także obowiązek, którego (przynajmniej oficjalnie) nie sposób zaniedbywać.

Ze względu na odpychającą powierchowość Pawła obowiązek młodej żony stawał się uciążliwy, wręcz przykry. Niektórzy świadkowie twierdzili, że nie zawsze potrafiła ukrywać obrzydzenie na jego widok. Była jednak zręczna i konsekwentna w realizacji swych planów.

Przenikliwa w swej inteligencji Katarzyna II prędko rozszyfrowała charakter Natalii. Carycę coraz bardziej irytowały ekstremalne zachowania synowej: tańce do upadłego, dwudziestowiorstowe spaceru, częste niedomagania zdrowotne i niechęć do nauki języka rosyjskiego. Sama caryca pamiętała dobrze własne zaangażowanie w naukę języka swej nowej ojczyzny.

Dodatkowo jeszcze po niemiecku skrupulatną i oszczędną Katarzynę zaskakiwało zadłużenie „małego dworu”, chociaż był on fantastycznie dotowany przez carycę.

Paweł coraz bardziej ulegał wpływowi żony. Natalia zaczęła decydować o każdym jego kroku, dobierała mu krąg znajomych i przyjaciół. Wreszcie poczęła demonstracyjnie podzielać niechęć Pawła względem matki. Doszło do tego, że wspólnie z nim organizowała opozycję wobec carycy. Katarzyna niemal natychmiast otrzymała informację na ten temat. Sytuację skomplikował też fakt, że carycy doniesiono o romansie Natalii. Kochankiem był A. Razumowski. Zamieszkiwał obok apartamentów Natalii Aleksiejewny na prawach starego przyjaciela Pawła. Był bratankiem faworyta carycy Jelizawiey Pietrownej (poprzedniczki Katarzyny II).

Od osób z bliższego otoczenia pa-ry książęcej pochodziły informacje, że

Razumowski przy kolacji dolewał Pawłowi do wina morfinę. Paweł zasypiał, pozostawiając parze kochanków swobodę działania. Rano przeproszał żonę za niewłaściwe zachowanie. Gdy Katarzyna poinformowała syna o romansie Natalii z Razumowskim, ta przekonała go, że caryca po prostu nienawidzi syna, a nienawiść tę przelewa również na synową. Twierdziła, że to intryga carycy, a wszystko to niecne pomówienia i insynuacje.

W kwietniu 1776 roku cały dwór przygotowywał się na narodziny wielkoksiążęcego potomka. Katarzyna II osobiście dyżurowała przy łóżku Natalii. Poród był pięciodniową męczarnią zakończoną dokonaniem cesarskiego cięcia. Niestety, dziecko urodziło się martwe. Niebawem na skutek gorączki poporodowej zmarła także Natalia Aleksiejewna. Miała zaledwie dwadzieścia jeden lat. Została uroczyście pochowana w Aleksandro-Newskiej Ławrze. Cały Petersburg huczał od plotek o otruciu wielkiej księżny przez Katarzynę. Caryca zwołała konsylium najlepszych lekarzy, by sporządzić najbardziej sumienną i wiarygodną diagnozę. Okazała się, że wady anatomiczne (bardzo wąska miednica i skolioza kręgosłupa) uniemożliwiały prawidłowy poród. Paweł szalał z rozpaczy.

Katarzyna przeszukała gabinet synowej. Znalazła tam pakiet listów od Razumowskiego. Listy przekazała Pawłowi. Wielki książę dopiero wówczas przekonał się, że był rogiaczem, ale też, że nie on był ojcem nieszczęsnego potomka Natalii. Tak był zdruzgotany tymi wiadomościami, że nie uczestniczył w pogrzebie żony.

Współcześni wyrażają wspólną opinię, że od tamtych wydarzeń nastąpiło załamanie psychiczne i szaleństwo Pawła,

co doprowadziło w rezultacie do śmierci. Ze swoją mentalnością średniowiecznego rycerza nie potrafił pojąć straty honoru i zdrady ukochanej żony i przyjaciela. To nie mieściło się w zakresie jego wyobrażeń o świecie.

Wkrótce nastąpił kolejny cios. Okazało się, że przy pomocy A. Razumowskiego żona zaciągnęła w Paryżu pożyczkę w wysokości trzech milionów rubli. Podejrzewa się, że te pieniądze miały posłużyć na sfinansowanie przewrotu. Przewrót ten miał odsunąć od władzy nie tylko Katarzynę II, ale i samego Pawła. Ślady tych niecznych zamiarów możemy odnaleźć w liście ambasadora Wielkiej Brytanii J. Harrisa do kanclerza Anglii: „...*Ta młoda księżna była żądną władzy, chorobliwie egoistyczna i zdecydowana i gdyby śmierć jej nie powstrzymała to za jej życia doszłoby do walki między teściową a synową...*”

Inny uczestnik ówczesnego życia politycznego, książę Waldeck, powiedział do jednego z bliskich Katarzyny II: „...*Jeśli jej się nie udało dokonać przewrotu, to nikomu się nie uda...*” Intryga polegała na tym, że najpierw Paweł miał obalić Katarzynę, później zaś pod dowolnym pretekstem sam miał stracić władzę. Na tronie miała zasiąść Natalia Aleksiejewna (jako Natalia I), a u jej boku Razumowski.

Natalia jednak wykazała się sporą naiwnością lub uległa kompletnemu zaślepieniu żądzą władzy. Nie wiedziała, że za życia doświadczonej w dworskich intrygach Katarzynie taki bieg wydarzeń był po prostu nierealny.

Wtedy jeszcze naiwny Paweł nie potrafił się mścić. Razumowski został zesłany do Rewla (dzisiejszy Tallin), później do ojca na Ukrainę. W roku 1777 rozpoczął służbę dyplomatyczną. Był ambasadorem w królestwie Neapolu,

w Danii, Szwecji, Austrii. Zmarł na Ukrainie w wieku osiemdziesięciu czterech lat.

Dwór po śmierci Natalii nie był zagrożony w żalobie. Katarzyna II wciąż pracowała nad realizacją priorytetu dynastii carskiej. Trzeba było jak najszybciej postarać się o następcę tronu. Katarzyna sama doskonale pamiętała, w jakim celu przed laty przybyła do Rosji.

Już dwa dni po pogrzebie feldmarszałek Rumiancew dostał rozkaz udania się do Berlina, by zaaranżować kolejne małżeństwo dwudziestodwuletniego księcia-wdowca. Znów zadziałało „niemieckie biuro matrymonialne” i niezastąpiony Fryderyk II.

Dwa miesiące po śmierci żony, w czerwcu 1776 roku. Paweł wraz ze swoją żoną przybył do Berlina. Na dworze króla Prus przyjmowany był z niezwykłym przepychem. Trzeba dodać, że zarówno dla Pawła, jak wcześniej dla jego ojca Fryderyk II był idolem.

Na dworze króla Prus Paweł poznał więc kandydatkę na nową żonę. Przyszła teściowa, Fryderyka Brandenburska była siostrzenicą Fryderyka II. Jej mąż, Fryderyk Eugeniusz pochodził z ubogiej rodziny i służył na dworze króla Prus. Był komendantem twierdzy w Szczecinie.

Kandydatka na żonę cara nie prezentowała wysokiego poziomu wykształcenia. Jak wiele młodych dam tego okresu otrzymała tak zwane „wykształcenie domowe”. Wykształcenie to miało ugruntować w niej postawę wzorowej „kury domowej”. W jednym z jej zeszytów odnaleziono tłumaczony z francuskiego wiersz pt. „Filozofia życia”. Tekst ten sprowadza się do twierdzenia, że źle jest, gdy kobieta ma za dużo wiedzy, bowiem jej celem jest należyte wychowanie dzieci, prowadzenie domu, nadzór nad służbą i skrupulatność w wydatkach. Tezy te stały się życiowym credo młodej Zofii.

Trzeba również sprawiedliwie dodać, że młoda księżniczka była bardzo uzdolniona plastycznie. Bardzo ładnie rysowała, znała tajniki haftu artystycznego, lepiła figurki z wosku. Miała małą tokarkę, na której produkowała figurki z bursztynu i kości słoniowej. Tak duże zdolności manualne uzupełniało grawerowanie na metalowych płytach i obróbka kamieni półszlachetnych. Wyrzeźbiła piękną kamień z wizerunkiem carskiej rodziny. Był to upominek z okazji sześćdziesiątych czwartych urodzin Katarzyny II. Stworzyła też medal z okazji koronacji Pawła, a także medal „Zbawca Narodów” z okazji zwycięstwa Aleksandra I nad Napoleonem. To najbardziej znane jej prace artystyczne.

Zofia przejawiała także pewne talenty literackie. Przez całe życie prowadziła dziennik. Niestety, nakazała synowi, by bez czytania i ujawniania treści spalił ów diariusz po jej śmierci zaś niektóre dokumenty włożył do trumny i pogrzebał razem z nią. Mikołaj I z żalem zastosował do ostatniej woli zmarłej. Oczywiście, z punktu widzenia historii było wielką stratą zaprzepaszczać takie świadectwo epoki. Dziełem Zofii były również próby literackich przekładów z języka francuskiego.

Paweł wręczył jej czternastopunktową instrukcję dotyczącą zachowania się w Rosji. W instrukcji tej szczególny nacisk położony był na cierpliwość i łagodną potulność oraz na znoszenie porwywczego charakteru męża.

Instrukcja zabraniała wtrącania się w jakiegokolwiek intrygi dworskie, a także przyjmowania jakichkolwiek rad i wskazówek – niezależnie od ich treści.

Paweł powrócił do Rosji 14 sierpnia, a już 31 sierpnia przybyła narzeczoną. Na chrzcie prawosławnym otrzymała imię Maria Fiodorowna oraz tytuł wielkiej księżnej.



Maria Fiodorowna

Ślub odbył się pod koniec września 1776 roku, z tradycyjnym petersburskim przepychem.

Dysponujemy skrajnie zróżnicowanymi opiniami na temat Zofii – Marii. Jedni (głównie pisarze i poeci) twierdzili, że była bardzo skromna, cicha, sentymentalna, stworzona do życia rodzinnego i do macierzyństwa.

Inną opinię prezentował znany historyk Natan Ejdelman. Twierdził, że była nieszczerą, nazywał ją „obłudną hipokrytką” żądną władzy. Utrzymywał, że wielka księżna tylko werbalnie deklarowała swą miłość do Pawła, wierność, czystość i cnotliwe życie. Jej biografia potwierdza raczej słusność ocen Ejdelmana. Wiadome było, że była chorobliwie zazdrosna, manipulowała Pawłem. Wierności małżeńskiej także nie dotrzymywała. Jej niemiecka oszczędność objawiała się w tym, że po poprzedniczce przejęła nie tylko jej biżuterię, ale również stroje, a nawet obuwie. Fakt ten potwierdził ambasador francuski M.D.B. Corberon.

Katarzyna wreszcie doczekała się wnuka. Z okazji jego urodzenia Paweł i Maria otrzymali posiadłość, na której wspaniały pałac zaprojektował Ch. Cameron. Z nazwiskiem tego wspaniałego architekta wiążą się zachowane do dzisiaj budowle, m.in. galeria w Carskim Siole. W późniejszych latach (od 1786 roku) głównym architektem i dekoratorem pałacu będzie włoski artysta Brenna. Na ogromnym terytorium zaprojektowano wspaniały park w stylu angielskim. Park ten będzie rozwijać i upiększać najpierw wielka księżna, a potem carowa. Rezydencja w Pawłowsku pozostanie jej ulubionym miejscem.

Maria i Paweł „podzielili się” ulubionymi rezydencjami. Dla Pawła była to urzędowa i ozdobiona na wzór pruski Gatczyzna. Tutaj odbywały się ćwiczenia miniaturowej armii wielkiego księcia. Pawłowsk natomiast był azylem dla Marii i jej córek.

Dwaj najstarsi wnukowie (Aleksander – 1772 i Konstanty – 1779) zaraz po urodzeniu zostali przez Katarzynę zabrani do Pałacu Zimowego. Rodziców odsunięto od ich wychowania. Odwiedziny były możliwe w terminach ustalonych przez carycę. Babka zagwarantowała sobie wyłączność na edukację i wychowanie chłopców. Byli bowiem istotnym elementem planów dynastycznych Katarzyny II.

W roku 1781 para wielkksiążęca odbyła podróż po Europie. Katarzyna zaleciła, by podróżowali incognito. Dla nikogo jednak nie było tajemnicą, kim są „Państwo Siewiernoje”. Trasa podróży była tradycyjna: Berlin, Holandia, Francja, następnie Włochy, w końcu Wirtembergia. Tam właśnie wielka Księżna spotkała się z rodziną.

Maria Fiodorowna wywiązała się z obowiązku dostarczania potomków aż

nadto skutecznie. Była niemal w permanentnej ciąży. Katarzyna II złośliwie nazywała ją klaczą rozplodową. Obiegowa opinia głosiła, że „wykonała dwie królewskie normy”, rodząc dziesięć dzieci. Nie rezygnowała przy tym z uroków i obowiązków życia dworskiego. Zawsze występowała w sukniach z ciasno zasnuwanym gorsetem. Jedną z jej córek, Olga zmarła w wieku trzech lat, pozostała dziewiątka dożyła pełnoletności.

Maria Fiodorowna demonstrując swoje uczucia coraz bardziej próbowała podporządkować sobie małżonka. To bardzo irytowało Pawła.

W roku 1784 Paweł zakochał się w frejlinie Marii Fiodorowny – dwudziestosiemioletniej Jekatierinie Nielidowej. Była absolwentką Instytutu Smolnego. W wieku osiemnastu lat została frejliną Natalii Aleksiejewny, poprzedniej małżonki wielkiego księcia. Faworyta Pawła była niskiego wzrostu, miała smagłą cerę i bardzo żywe, krotochwilne usposobienie. Jej wesołość była znana powszechnie.

S.S. Montefiore w dziele pt. „Romanowowie” przytacza opinię jednego z dworzan: „...mała wyjątkowo nieurodziwa, ciemnowłosa, miała małe oczka, usta rozciągające się od ucha do ucha i krótkie nóżki jak u jamnika...” dworzanie podkreślali, że była niezwykle szybka w ruchach, a jako tancerka odznaczała się zręcznością i nadzwyczajną elegancją. Nasuwa się pytanie: czyżby Paweł odziedziczył po ojcu skłonność do nieatrakcyjnych kobiet?

Nielidowa uwielbiała zielony kolor. By jej zrobić przyjemność, Paweł zamówił zielone kostiumy dla chórzystów w carskim teatrze.

Paweł twierdził, że jego związek z Jekatieriną Nielidową był wyłącznie



Instytut Smolny

platoniczny i mieścił się w pojęciu rycerskości. Ze współczesną mu „Dulcyneą”, jak podkreślał „łączyła go tylko wielka przyjaźń szlachetna i czysta”.

Jekatierina nigdy nie zaszła w ciążę (w odróżnieniu do wciąż ciężarnej Marii Fiodorowny). Prezentowała demonstracyjną pobożność, co w połączeniu z (jak się powszechnie twierdziło) cnotliwością i czystością obyczajów, pozwalało na stopniowe poszerzanie władzy nad „średniowieczno-rycerskim Pawłem”.

Nielidowa nie tylko nigdy o nic Pawła nie prosiła, ale odmawiała przyjmowania kosztownych prezentów. Nigdy wielkiemu księciu nie schlebiała, nie zabiegała o jego względy, jak to było w zwyczaju dworzan.

Podobno tylko raz przyjęła porcelanowy serwis śniadaniowy, ale odmówiła przyjęcia „załącznika” w postaci tysiąca chłopów pańszczyźnianych. Według innych źródeł, Paweł postanowił obdarować jej matkę dwoma tysiącami dusz.

Nielidowa prosiła by „prezent” ograniczyć do pięciuset.

Rosyjskie źródła podkreślają jej bezinteresowność, lecz K. Waliszewski przytacza fakt, że Nielidowa za doprowadzenie w lutym 1797 roku do zawarcia rosyjsko-angielskiej umowy handlowej otrzymała trzydzieści tysięcy rubli srebrem od ambasadora angielskiego Ch. Withwortha. Podobne sensacje będą rozpowszechniane na temat faworyty Aleksandra II – J. Dołgorukiej.

Jekatierina Nielidowa miała znaczący wpływ na postępowanie Pawła. Jej wesołe usposobienie, bystrość umysłu i bezinteresowność sprawiał, że wielki książę nazywał ją siostrą. W swych listach podkreślał, że nie była jego kochanką, a ukochaną, co w jego pojęciu stanowiło wielką różnicę. Ufał Jekatierinie bezgranicznie. Nielidowa widziała jego wszystkie wady, potrafiła szczerze z nim rozmawiać, mówić prawdę prosto w oczy, hamować jego szaleńcze zpydy. Miała

wpływ na jego decyzję, które często podejmował w przypływie emocji. Mitygująca rola Jekatieriny przeszkadzała kołteriom dworskim, uwikłanym w walkę o wpływy i pieniądze.

Maria Fiodorowna była niezwykle zazdrosna o frejlinę Nielidową. Nie mogąc znieść jej rosnącego znaczenia, poskarżyła się carycy Katarzynie i poprosiła o interwencję. Katarzyna starała się uspokoić wielką księżną. Zachował się w dokumentach ich dialog przed lustrem, caryca wychwalała urodę synowej i podkreślała mankamenty faworytki. Ambitna Maria Fiodorowna z trudem zносиła odsunięcie jej na drugi plan. Trzeźwo oceniła sytuację, że znalazła się „między młotem, a kowadłem” (mężem a teściową). Za wszelką cenę chciała zachować całość rodziny. Zbliżenie między wielką księżną a faworytką nastąpiło w roku 1794, a tak zwany „sojusz przyjacielski” obie panie zawarły w roku 1796 po wstąpieniu Pawła na tron.

Po śmierci Katarzyny II Paweł znalazł dokument, w którym zawarto projekt odsunięcia go od tronu na rzecz syna Aleksandra. Taki dokument musiała opatrzyć swoją zgodą Maria Fiodorowna. Na tym planie zamachu stanu podpisu żony Pawła nie było. Jednakże Paweł podejrzewał, że Maria Fiodorowna o wszystkim wiedziała. Nie potrafił jej wybaczyć zdrady. Między małżonkami narastał konflikt. W kolejnym jego etapie Paweł zakwestionował ojcostwo dzieci urodzonych po roku 1778. Paweł mieszkał w Gatchynie, zajęty swą miniaturową armią. Maria z córkami przebywała w Pawłowsku.

Zgodnie z zaleceniami lekarzy między małżonkami nie dochodziło do zbliżeń. Kto zatem był ojcem dzieci urodzonych między rokiem 1788 a 1796?

Paweł uznał synów Aleksandra i Konstantego (będącego niemal jego kopią)

i córkę Aleksandrę. Sporządził też dokument „O nieuznaniu mojego syna Mikołaja”. Chciał odesłać chłopca do jego wujków w Wirtembergii. Argumentował ten zamiar, pisząc: „... ten wyrostek nie jest godzien nosić tytuł wielkiego księcia...” Podjęcie takich działań odradzili mu kanclerz Bezborodko i generał-prokurator Obolianow. Dowodzili, że skandal na skalę europejską niczemu nie służy, a rodzina carska to uświęcona instytucja i honor jest równy godłu Imperium.

Czy deklarująca wierność carowa mogła dopuścić się zdrady? W sferach dworskich krążyła mało wiarygodna pogłoska, że myśl o zdradzie podsunęła jej sama caryca. Mimo upływu lat Maria Fiodorowna uważała się za kobietę bardzo atrakcyjną. Poza tym była zazdrosna nie tylko o męża, ale także o pozycję w hierarchii dworskiej. Nie dopuszczał myśli o roli drugoplanowej. Niektórzy „dobrze poinformowani” upatrują przyczyny całego konfliktu w adorowaniu Nielidowej przez Pawła. Ten „siostrzano-braterski” związek trwał 17 lat. Maria Fiodorowna nie mogła tego zaakceptować.

Pierwszym kochankiem Marii Fiodorownej był o trzy lata młodszy od niej S. Muchanow. Plotka głosi, że był on ojcem Olgi (zmarłej w wieku trzech lat). Następnym radcą tytularny Daniła Babkin. Z tego romansu przyszli na świat córka Anna (1795) i syn Mikołaj (1796). Obydwoje podobni do Babkina jak dwie krople wody, a zwłaszcza Mikołaj. Podobieństwo jest szczególnie wyraźne na dorosłych portretach. Podobnie jak D. Babkin, Mikołaj był bardzo wysoki (ok. 186 cm wzrostu), a Paweł mierzył zaledwie 166 cm. Można więc zapytać: jaka dynastia panowała przez kolejne stulecia – Romanowów czy Babkinów?

Paweł był bardzo wrogo nastawiony do małżonki. Dopiero Nielidowa przekonała

go do pogodzenia się z Marią „w imię prestiżu Imperium”.

Dla porządku historycznego dodajmy, że ostatnim dzieckiem pary wielkksiężęcej był syn Michał, urodzony w 1798 roku.

Jekatierina i Maria Fiodorowna połączonymi siłami mogły wywierać znaczący wpływ na uczynki wielkiego księcia. Niechęć Pawła do żony była na tyle duża, że w roku 1792 oświadczył wobec dworzań: „Szacunek do J. Nielidowej, pogarda dla Wielkiej Księżny”. Pozycja Nielidowej u boku Pawła była na tyle mocna, że stała się ona obiektem intryg dworskich. Niektórzy dworzanie czynili wszystko, by Nielidową odsunąć od wielkiego księcia. Wśród intrygantów był także chorobliwie ambitny golibroda Pawła, J. Kutaisow. Zręcznymi zabiegami dosłużył się tytułu hrabiowskiego, by później być członkiem grupy spiskowców działających przeciw Pawłowi.

W roku 1793 Nielidowa złożyła dymisję ze stanowiska damy dworu, opuściła dwór i zamieszkała w klasztorze Smolnym.

W roku 1794 Maria Fiodorowna, desperacko próbująca ratować rodzinę, poprosiła carycę, by Jekatierina Nielidowa mogła jednak przebywać na dworze. Postanowiła także jeszcze bliżej zaprzyjaźnić się z „bratnią duszą” męża. O tym, że stopniowo popada w niełaskę dowiedziała się dopiero wówczas, gdy Paweł zaczął oddalać z dworu osoby z nią związane. Nielidowa nie zauważyła tego w porę, gdyż była pogrążona w pracy na rzecz Instytutu Smolnego.

Kolejną sprzyjającą okolicznością osłabienia wpływów Jekatieriny Nielidowej były liczne bale koronacyjne w Moskwie, odbywające się w roku 1797. Paweł był wówczas oblegany przez tłum miejscowych piękności, zabiegających

o względy nowego cara. Wśród nich była Anna Łopuchina. Car zakochał się w niej bez pamięci. To przesądziło o odsunięciu Nielidowej.

S. Rumiancew odnotował: „1797 – Pani Nielidowa przestała się cieszyć względami cara”. W roku 1798 Paweł zabronił Nielidowej wstępu na dwór. W odpowiedzi Nielidowa napisała doń szczerzy list, stanowiący podsumowanie ich wieloletniej znajomości. Odpowiedzi nigdy nie otrzymała.

Natychmiast po opuszczeniu dworu przez Nielidową do jej apartamentów wprowadziła się Anna Łopuchina.

Na pewien czas Nielidowa wyjechała do Estonii, do swojej przyjaciółki, by na koniec osiąść w klasztorze Smolnym. Odwiedzała ją tam często carowa Maria Fiodorowna. Sama Nielidowa nigdy nie pokazała się na dworze. Plotka (niesprawiedliwa) głosi, że podobno na wieść o śmierci Pawła twarz jej pokryła się głębokimi zmarszczkami. Osiwiała całkowicie, a jej cera, tak dotychczas podziwiana, przybrała ziemista barwę. Zmarła 2 stycznia 1839 roku przeżywszy siedemdziesiąt lat. Zachowała przyjazne stosunki z Marią Fiodorowną, którą przeżyła o dziesięć lat.

Kilka słów należy się ostatniej fascynacji cara Pawła – Annie Łopuchinie. Urodzona w roku 1771, była ponad dwukrotnie młodsza od Pawła. Kruczoczarne włosy, czarne oczy, piękny uśmiech, białe zęby, kuszące usta, lekko zadarty nossek stanowiły atuty jej urody. W opinii współczesnych słusznie uchodziła za niezwykle piękną. Była niezwykle aktywna w nawiązywaniu stosunków z Pawłem – znacznie bardziej niż sam car.

Trzeba dodać, że w Rosji zmiana faworytki czy faworyta nie była prywatną sprawą cara. To była sprawa państwowa, polityczna. Najbliżsi krewni faworyta

lub faworytki otrzymywali wysokie stanowiska państwowe. Jednocześnie odbywało się konsekwentne usuwanie ze stanowisk krewnych poprzedników. Swowista karuzela kadrowa nie jest zatem wyjątkiem XX stulecia. Bynajmniej.

W odróżnieniu od Nielidowej Łopuchina zadbała o synekury dla krewnych. Jej ojciec otrzymał tytuł książęcy dla siebie i zstępnych. W ten sposób nowa faworyta cara została księżniczką. Jakby tego było mało ojciec Łopuchiny awansował z pozycji senatora na stanowisko oberprokuratora Świętego Synodu. Było to drugie (po kanclerzu) stanowisko w ówczesnej Rosji. Został też członkiem Rady Państwa, co wiązało się z przeniesieniem wraz z rodziną z Moskwy do Petersburga.

Nowa faworyta jakże różniła się od swej poprzedniczki. Nieustającymi kaprysami potrafiła wymuszać na carze coraz to nowe stanowiska dla swych krewnych – bliższych i dalszych. Paweł spełniał jej żądania. Zmiany dotknęły wielu krewnych Nielidowej. Stanowisko stracił generał-gubernator Petersburga F. Buxhoevden. Jego miejsce w roku 1798 zajął P.A. Pahlen (w przyszłości główny organizator spisku i zabójca cara). Car własnymi rękoma przygotował swoją zgubę. Nie trzeba dodawać, że wskutek pojawienia się Łopuchiny bardzo osłabła pozycja Marii Fiodorowny, zaprzyjaźnionej z Nielidową. Konsekwencje towarzyskie, a przede wszystkim służbowo-polityczne dotknęły też dostojników związanych z Jekatieriną.

Coraz bardziej szczęśliwy i coraz mocniej zakochany car podarował Łopuchinie przepiękny pałac na Nabrzeżu Pałacowym. Normą stało się obsypywanie nowej faworytki coraz droższymi prezentami. Nie uchroniło to jednak Pawła przed ciągłymi napadami hysterii,

płaczem i wymuszaniem ustępstw ze strony pięknej Anny. Trudno się zatem dziwić, że Paweł podejmował często nieprzemyślane decyzje. Koronnym przykładem było mianowanie damą dworu prymitywnej w gruncie rzeczy Anny Łopuchiny. Nie miała pojęcia jak nikła jest jej wiedza o etykiecie dworskiej i jak niewystarczające jest jej wykształcenie.

Do jej obowiązków należało asystowanie carowej i jej córkom podczas wszelkich uroczystości dworskich. Ponieważ lubiła kolor malinowy, błyskawicznie kolor szmaragdowy został usunięty z wnętrza dworskich.

Gdy Paweł został Wielkim Mistrzem Zakonu Maltańskiego, natychmiast przyznał jej (przyznawany dotychczas tylko dla mężczyzn) Order Krzyża Maltańskiego.

Car pasjonował się mistyką, wielką wagę przywiązywał do symboli. Gdy tylko dowiedział się, że imię Anna w języku staro hebrajskim oznacza „łaska”, kazał ten wyraz umieścić na sztandarach wszystkich pułków i czapkach grenadierów. Nowozwodowaną fregatę rozkazał nazwać jej imieniem. Decyzja Pawła była przedmiotem kpiny samych grenadierów, a carowi nie zjednywały sympatii. Car jednak był oczarowany swoją faworytą, że postanowił pokazać ją całej stolicy. Dwa razy dziennie woził po Petersburgu w otwartej karecie, a żona i córki musiały publicznie okazywać Annie szacunek. Aby ucieszyć Annę, przywrócił prawo tańczenia walca, którego wcześniej zabronił, gdyż uważał ten taniec za nieprzyzwoity.

Anna nie wtrącała się do spraw państwowych, ale też nigdy nie stawała w obronie ofiar carskiego gniewu. Wyjątek stanowiły sprawy dotyczące członków jej rodziny.

Nawet największe szczęście nie trwa wiecznie. Paweł szybko się zorientował, że jego uczucie nie jest odwzajemnione. Gdy zauważył, że Anna z sympatią traktuje jednego z carskich adiutantów, postanowił wydać ją za niego za mąż. Anna jednak odmówiła. Adiutant został więc wysłany na służbę dyplomatyczną.

Anna przyznała się, że od dzieciństwa kocha z wzajemnością księcia Gagarina, który służy w randze majora pod dowództwem Suworowa. Gagarin został ranny w tzw. „przeprawie alpejskiej”. Paweł, ceniący jako się rzekło etos rycerski, po dojściu dzielnego majora do zdrowia, awansował go na stanowisko generał-adiutanta przy Jego Imperatorskiej Wysokości. Wkrótce dał zezwolenie na ślub Anny i generał-adiutanta. Zaślubiny odbyły się z wielkim przepychem ósmego lutego 1800 roku. W ceremonii wzięła udział cała rodzina carska.

Małżeństwo Anny z Gagarinem było wymarzoną kamuflażem dla romanu cara. Po ślubie Anna pozostała nadal na dworze, car nadal obsypywał ją zaszczytami. Doszło nadal do kolejnego, bezprecedensowego aktu. Księżna Gagarina została odznaczona Orderem Świętej Katarzyny Wielkiego Krzyża. Dotychczas tylko jedna kobieta w dziejach Rosji otrzymała to zaszczytne wyróżnienie. Była to siostrzenica Patiomkina. Anna została też odznaczona Orderem Świętego Jana Jerozolimskiego – odznaczeniem typowo „męskim”.

Relacje między Pawłem a Łopuchiną podobno były platoniczne, chociaż car liczył na więcej. Mimo jej sprzeciwu nakazał, by przeniosła się do Zamku Mikołajewskiego. Tam apartamenty Anny sekretnymi schodami łączyły się z gabinetem cara. Sprzeciw Anny nie trwał długo. Opuściła Gagarina i wypełniła wolę cara.

Śmierć Pawła 11 marca 1801 roku zakończyła karierę Łopuchiny jako faworyty. Anna nadal pozostała damą dworu, lecz był to kameralny dwór carowej-wdowy.

Po wstąpieniu na tron Aleksandra I księżę Gagarin z małżonką został wysłany do Królestwa Sardynii w charakterze ambasadora. Do Rosji powrócili w 1803 roku. Anna zmarła w roku 1805 w wieku dwudziestu ośmiu lat. Przyczyną śmierci według jednych źródeł była gorączka poporodowa, zaś według innych gruźlica.

Poprzednia faworytka Pawła, J. Nielidowa, jak sam ją określił, jego „anioł stróż”, przeżyła rywalkę o trzydzieści pięć lat. Historycy twierdzą, że Paweł zachowywał się wobec Anny jak „zakochany dzieciak”, z całym arsenałem rycerskich gestów wobec damy swego serca. Prymitywna, lecz wyrachowana Anna nigdy go nie kochała. Znakomicie natomiast wykorzystywała sytuację, by zadbać o przyszłość swoją i rodziny. Mamy tu do czynienia ze swoistym paradoksem: Prusak z mentalności duchowo wojskowy rygorysta, wielki wróg kobiet, będąc u władzy, pozwalał kobietom rządzić sobą.

Niektórzy historycy twierdzą, że odsuniecie od wpływów carowej i Nielidowej było przyczyną upadku cara. Nikt bowiem nie tylko nie hamował jego szaleńczych postępków, lecz wręcz były one podsycane. Tak kamaryla dworska załatwiała między sobą zadawnione porachunki.

Tragedia dopełniła się 11 marca 1801 roku. Paweł, który nigdy nikogo nie skazał na śmierć, sam został zamordowany przez ludzi, którym ufał. Siłą próbował wdrażać w społeczeństwie dobroć i miłosierdzie. Te cechy temu społeczeństwu były na ogół obce. Napoleon nazwał go

„rosyjskim Don Kichotem”, zaś Aleksander Herzen „koronowanym Don Kichotem”.

Zachowały się różne relacje o zachowaniu carowej Marii Fiodorowny w obliczu wydarzeń w nocy 11 marca 1801 roku. W rozmaitych zapiskach istnieją relacje, że nad zwłokami męża krzyczała: „Ich will regieren!” (Chcę panować!). O tym, jak najbliżsi dworzanie traktowali carową, świadczą wypowiedzi zamachowców. P. Zubow miał rzekomo powiedzieć: „zabierzcie stąd tę babę”. Generał Bennigsen rzekł: „Madame, proszę nie urządzać komedii!”. Niestety, Maria Fiodorowa nie mogła powtórzyć scenariusza swojej teściowej. Nie dowodziła spiskiem, nie była szanowana na dworze, źle mówiła po rosyjsku i – co najważniejsze – nie miała żadnych wpływów w gwardii. Kategorycznie odmówiła złożenia przysięgi nowemu carowi. Była przekonana, że należy się jej władza, jeżeli nie jako carycy, to przynajmniej regentki u boku swego syna.

Wobec ciągłych, natarczywych nalegań Marii Fiodorowny na przyznanie jej statusu regentki, Jelizawieta (żona Aleksandra I) podczas rady rodzinnej miała podobno oświadczyć: „Naród jest już zmęczony starą, grubą Niemką. Pozwólcie mu cieszyć się młodym rosyjskim imperatorem!”. Tych słów Maria Fiodorowna nigdy nie zapomniała, podobnie jak nie zapomniała funkcji carowej-matki. Przy każdej okazji jawnie demonstrowała swój chłodny stosunek do synowej. Doszło do tego, że nieomal siłą zmuszono ją, by przybyła do Pałacu zimowego i wraz z całą rodziną złożyła przysięgę na wierność nowemu carowi Aleksandrowi I. Zanim to się stało, przebrała się w żałobny strój, zamówiła również u wziętego petersburskiego malarza Kugelgena zgodny z etykietą dworska portret w żałobie. Ponadto

z Pałacu Michajłowskiego, gdzie zabito Pawła, zabrała łóżko, zakrwawioną pościel i bieliznę cara. Kazała to wszystko umieścić za parawanem w komnacie obok swojej sypialni. Do końca życia codziennie odwiedzała to pomieszczenie. Demonstracyjnie celebrowała żałobę.

Maria Fiodorowna wywalczyła sobie wymarzoną pozycję matki dynastii. Organizowała małżeństwa swoich licznych dzieci. Stanowiło to podstawę umacniania rodzinnych i politycznych więzi dynastii Romanowów z europejskimi dworami panującymi. Odsunęła na dalszy plan małżonkę swego syna, cara Aleksandra I. Powtórzyła tym samym manewr znieawidzonej teściowej. Była to swoista zemsta za długoletnie odsunięcie na drugi plan. Prześladowała wszystkich, którzy uczestniczyli w spisku, łamała ich kariery. Na ile mogła, ingerowała w sprawy wagi państwowej, nie zapominając o swych niemieckich krewnych. Zmuszała Aleksandra I, by troszczył się o ich los w trakcie wojen napoleońskich.

Próbowała wykorzystać kolejną szansę decydującego uczestnictwa w życiu politycznym po śmierci Aleksandra w 1825 roku. Niektórzy badacze historii dynastii twierdzą, że wspierała powstanie dekabrystów, ale brak wiarygodnych dowodów na ten temat.

Kiedy zorientował się, jej ambicje polityczne nie będą spełnione, postanowiła tę porażkę nadrobić podkreśleniem splendoru monarchii. Jej osobisty dwór był zupełnym przeciwieństwem dworu monarchy i jego małżonki. W tej sferze Maria Fiodorowna naśladowała Katarzynę II, a nawet ją przewyższała. Zawsze wyjeżdżała z pałacu karetą zaprzęzoną w szóstkę koni, podczas gdy para carska zadowalała się dwójką. Otaczała ją zawsze asysta huzarów i paziów. Przy okazji parad wojskowych występowała przepasana wielką wstęgą orderową.

Jej toalety były niezmiernie kosztowne, a świta bardzo liczna. Głośno było o jej przyjęciach, niezwykle dystyngowanych. Ich atmosfera była pełna wesoła i kontrastowała ze sztywnymi, protokolarnymi i nudnymi przyjęciami pary carskiej.

Co ciekawe – czasie oficjalnych uroczystości państwowych carowa Jelizawietta jest zawsze na drugim planie. Kroczy samotnie za carem i jego matką. Wszystkie należne (i nienależne) hołdy, składane są carowej-wdowie.

Osobiste dochody Marii Fiodorowny wynosiły ponad milion rubli rocznie. Starła się wspomóc pomnożenie swoich zasobów i stanęła na czele Banku Pożyczkowego i przędzalni w Aleksandrowsku. Równie aktywnie zaangażował się w działalność charytatywną, z której z czasem uczyniła instytucję państwową. Nie były to tylko propagandowe gesty, czynione przy okazji świąt państwowych. Dzięki działalności Marii po raz pierwszy w historii Rosji systemowo zajęto się kształceniem dziewcząt z rodzin osób duchownych i wojskowych. Stworzona dla nich system elitarnych szkół. Carowa-wdowa była także inicjatorką pierwszej w Rosji szkoły dla niewidomych i głuchoniemych dzieci w Pawłowsku. To ona zwróciła uwagę na wysoką śmiertelność dzieci w sierocińcach. Aby rozwiązać problem przeludnienia w tych placówkach, ograniczono do dwudziestu liczbę małych pensjonariuszy. Maria Fiodorowna wpadła na pomysł, by oddawać zdrowe sieroty do rodzin chłopskich mających odpowiedni status materialny i dobrą reputację. Miało to przygotować dzieci do dorosłego życia. Projekt dotyczył chłopców do osiemnastego roku życia, a dziewcząt do piętnastego. Dzieci słabe i chorowite pozostawały w sierocińcach.

Marii Fiodorownie można zawdzięczać utworzenie w Moskwie Szpitala Marińskiego. W jego statucie zapisano, że każdy niezależnie od statusu materialnego, społecznego, narodowości, wyznania, płci i wieku, ma prawo otrzymać leczenie i opiekę lekarską.

Maria Fiodorowna była twórczynią Stowarzyszenia Litościwych Wdów – prototypu Czerwonego Krzyża. Była także kuratorka Instytutu Szlachetnie Urodzonych Panien, znanego jako Instytut Smolny. Opiekowała się sierocińcami w Petersburgu i w Moskwie. Zorganizowała szpital i przytułek dla inwalidów wojennych. Z jej inicjatywy powstały szkoły położnictwa, szkoły akuszerek w Pawłowsku i Moskwie, a kobiety po raz pierwszy mogły uzyskać dyplomy felczerów.

Patronowała czterem placówkom medycznym dla kobiet i dwudziestu pięciu dla mężczyzn. Rozmiar jej działalności dobroczynnej sprawił, że kolejny car, jej syn Mikołaj I utworzył IV Wydział Kancelarii Imperatorskiej do kontynuacji jej działalności – tzn. Resort Imperatorowej Marii. Ponadto ustanowił specjalną odznakę honorową dla kobiet za długoletnią aktywną służbę w placówkach będących pod kuratelą rodziny panującej.

Przykład Marii Fiodorowny sprawił, że do końca Imperium dobroczynność pozostała główną domeną działalności carowych. Maria Fiodorowna zmarła 12 listopada 1828 roku w wieku 69 lat. W małżeństwie z Pawłem przeżyła 25 lat. Do końca życia prowadziła dziennik, który rozpoczęła pisać w latach siedemdziesiątych XVIII wieku. Treści dziennika nigdy nie poznamy, gdyż zgodnie z jej ostatnią wolą Mikołaj I po śmierci matki polecił zniszczyć to arcyckawe świadectwo historii Rosji i caratu. □

## RZECZPOSPOLITA PANDEMICZNA

Istnieją opinie, że obserwacja zachowań społecznych w warunkach względnej normalności nie ma sensu. Ludziska bowiem spełniają swe codzienne rytuały, dzieląc swój czas (i swoich bliskich) pomiędzy to, co robić się musi, a między to, co robić się chce – najczęściej dla przyjemności. Skoro więc wiadomo, co będzie statystyczny Kowalski robił we wtorek, czwartek i inne dni tygodnia – szkoda się tym zajmować.

Jednakże, gdy ów statystyczny Kowalski znajdzie się w sytuacji dotąd nieznannej, nieopisananej, nieprzećwiczonej, a zatem nieoswojonej – otwiera się przed nami olbrzymie pole obserwacyjne. Mamy zatem zachowania indywidualne i zbiorowe, by nie powiedzieć: stadne.

A więc – pandemia. Złowrogi koronawirus szczerzy pysk w podłym uśmiechu i czyni swoją powinność. A to wesele (liczne i kosztowne) popsuje, a to urlop zagraniczny komuś skasuje, a to kilkoro staruszków i niemowląt uśmierci...

Logika nakazałaby przeto zachować się tak, jak każą eksperci, by obrzydliwca w koronie wyprowadzić w pole, pokonać, ośmieszyć. Tako rzecze logika, lecz nie u nas, nie u nas. My, Polacy, wolni ptacy, więc nikt nam niczego nakazać nie może. Nie mam maseczki na swym sarmackim obliczu, no i co z tego? To, że obok w sklepie widzę babcię z przerażonym wzrokiem? Pies ją drapał, nie moja babcia, po co tu laźła, kiedy JA, POTO-MEK HUZARÓW robię zakupy? A siedzieć w domu i nie pałętać się! O!

A gdyby ktoś mi nieopatrznie zwrócił uwagę na brak maseczki? No, to się wtedy zacznie! Chamstwo, agresja, gęba

sina z wściekłości, ślinotok lub piana na ryju... Co mi ktoś tu będzie chrząnił. Mam niezmożone poczucie wolności, a jeśli sam ulegnę zarazie – to, oczywiście winni lekarze, ratownicy, pielęgniarki! Nic nie umieją! Boże, Ty to widzisz i nie grzmisz! Ukaż tę bandę w białych kitlach!

I tu jest dowód na nieistnienie Przedwiecznego, bo gdyby Ów istniał, tak mówiący i myślący Sarmata musiałby za bluźnierstwo dostać po gębie. Obowiązkowo.

Chyba, że cała pandemia jest częścią jakiegoś większego planu, o którym jeszcze nie mamy pojęcia. Co to za plan? Ja nie wiem, ale są fakty, które nie mogą w normalnym społeczeństwie wystąpić i to przypadkiem. Przykłady? Służę uprzejmie:

- Kandydat na Prezydenta RP oświadcza publicznie, że się nie zaszczepi... bo nie. Doktor nauk prawnych. Wesoło, co?

- Premier (podobno nawet z habilitacją) uradowany (także publicznie) mówi, że koronawirusa nie trzeba się bać, bo ledwie dyszy, prawie go nie ma, nie potrzeba nosić tych głupich maseczek i można w tanecznych podrygach wziąć udział w wyborach. A tu: łubudu! Liczba zachorowań rośnie i już PO wyborach Pan Premier nakazuje jednak nosić maseczki. Prawie w tym samym czasie widzimy Go w kinie i restauracji. BEZ MASECZKI. Jego bowiem wirus nie rusza.

- Minister zdrowia z podkrążonymi oczyma (twierdzi, że z przepracowania) zapowiada, że urzędu nie złoży, bo to nie uchodzi, żeby kapitan uciekał ze statku. Niedługo potem zachował się



jak tchórzliwy majtek (nie mylić z gaciami) i prysnął do Hiszpanii. Zaprezentował fotografom wszem i wobec swe obłe kształty, a społeczeństwu gest p. Lichockiej.

- Do tego konglomeratu szaleństwa można by dołożyć pobredzania hierarchów kościelnych. Dla niektórych pandemia to spiszek sił wrogich Kościołowi, boć przecie ksiądz ma ręce konsekrowane, więc żadnego wirusa rozprzestrzeniać nie może...

Nie ma się co dziwić, że nasz ukochany statystyczny Sarmata całkowicie od tego wszystkiego głupieje. Spójrzmy na reportaże z nadbałtyckich plaż, na obrazki z Krupówek i Doliny Chochołowskiej, pokontemplujmy kolejki luzaków w klapkach na Giewont...

No, cóż zamiast Orła w Koronie, mamy Osła w Koronawirusie.

MARCHOŁT

## Z PORTALI INTERNETOWYCH

### starzec70 – @elinstal

(...) To co dzieje się w mojej ojczyźnie trwa od wieków. Już Gall Anonim życzył Czcigodnym kapelanom księżącym i innym pamięci godnym dobrym księżom w Polsce, by tak pomijali dobra doczesne, iżby im dane było bez trudności przejść od rzeczy ziemskich do wieczystych.

Podobnie wypowiedział się o duchownych syn wojewody poznańskiego Jan Ostroróg urodził się 1436 roku. W przyszłości przejął miał po ojcu godność, a we wszelkich swych wystąpieniach zawsze używał - obok nazw urzędów i honorów magnackich - tytułu naukowego. Był



pierwszym w Polsce świeckim doktorem obojga praw - kanonicznego i cywilnego. Ostroróg był zwolennikiem wzmocnienia państwa i jego całkowitej, absolutnej suwerenności. Ostrze wywodów skierowane zostało przeciwko obydwu filarom porządku średniowiecznego: Niemcom, będącym przecież domeną cesarza, i papieżowi, jako władcy. Rzym - głosi autor - nie ma żadnej zwierzchności nad Polską. Mia nować biskupów krajowych może tylko król. Należy natychmiast i raz na zawsze zaprzestać składania jakichkolwiek opłat lub danin papieżowi. „Rzymski zwierzchnik - woła Ostroróg - zmyśla, twierdząc, że te grosze mają być obrócone na budowę jakiegoś tam kościoła, gdy wiadomą jest rzeczą, że tego rodzaju dochody idą na pożytek osobisty krewnych i powinowatych, na utrzymanie koni, służby, że czegoś brzydkiego nie powiem” Przytoczony urywek stanowi słabą raczej próbę tonu, jakiego Ostroróg używa w stosunku do głowy kościoła. W traktacie mówi się o bullach papieskich „brednie z czerwonymi pieczęciami” Zajął się również klerem krajowym, a zwłaszcza jego majątkami. Autor twierdził, że w stosunku do duchowieństwa panuje w Polsce „nienawiść ciągła”. Sam uważał ich za darmozjadów, wywierających zły wpływ na społeczeństwo, bo wszyscy chcieliby nosić habity i próżnować. Z posiadłości kościelnych należy wydzielić dokładnie tyle, ile potrzeba na skromne utrzymanie kleru, reszta ma iść na ubogich i państwo. „Ojcowie nasi duchowni bardzo zabobonnie zasłaniają się Bogiem, gdy o to chodzi, aby cokolwiek królowi z dochodów swych na potrzeby kraju udzielić”

## **minkatminkat-@tomkul**

O Paetzu wiedzieli wszyscy. Podobno tamtejsze seminarium Poznaniacy nazywali Paetz Shop Boys, a mimo tego facet mocno się trzymał, miał obrońców, nikt się mu nie postawił, a przecież on gwałcił swoich. To chyba ta przyjaciółka JP II osobiście wręczyła mu list o Paetzu i wtedy go zdjęto; ale ani kapciowy, ani Jędraszewski jakichś kłopotów przez to nie mieli, Paetz też w zasadzie nie. To, że teraz kler sam robi porządki z facetem, który (jak na razie) nie jest oskarżany o pedofilię, a tylko o łamanie przepisów, to jest postęp.

## **Superveloce – ?**

Księża widzą, że statek tonie: prymas zajął jednoznaczne stanowisko, biskup Janiak jest na wylocie. Wiedzą, że poparcie go byłoby dla nich strzałem w stopę. ? – Bzdura. Jest wręcz przeciwnie. Oni podlegają temu biskupowi, więc pokazali charakter i nie dali sobie przetrącić kręgosłupów moralnych. Należy im się szacunek. Sporo im grozi. Nuncjusz Kowalczyk swego czasu listę odważnych przekazał bezpośrednio do Paetza. A ten już ich odpowiednio potraktował rozsyłając na najbiedniejsze parafie czy jeszcze dalej. Ten artykuł jest bardzo dobrą wiadomością dla wiernych i samego Kościoła. Brawa dla tych księży.

## **pies\_andaluzyjski@WD10**

Spokojnie z tymi laurkami dla arcybiskupa. Nikt, kto nie jest (...), nie zostanie biskupem, a co dopiero arcy. Już duch świnty o to zadba.



- Dwie kobiety spędzają wczasy w pensjonacie. Jedna mówi: „*jakie tu mają niedobre jedzenie*”, a druga dodaje: „*no i w dodatku takie małe porcje*”. To samo myślę o życiu. Jest pełne bólu, cierpienia i nieszczęść, a na dodatek tak szybko przemija.

*Woody Allen*

- Jakby cierpienie uczyło, Polska byłaby jednym z najmądrzejszych krajów świata.

*Maria Dąbrowska*

- Bije zegar godziny, my wtedy myślimy: „*Jak ten czas szybko mija!*” – a to my mijamy.

*Stanisław Jachowicz*

- Czas to nie droga szybkiego ruchu pomiędzy kołyską a grobem; czas to miejsce do zaparkowania pod słońcem.

*Phil Brosmans*

- Jesteśmy niewolnikami wskazówek zegara, więźniami kalendarza, gońcami kont bankowych.

*Jean Anouilh*

- Najbardziej lubię rozmawiać sam ze sobą. Oszczędzam w ten sposób czas i unikam kłótni.

*Oskar Wilde*

- Kiedy człowiek zabije tygrysa, nazywa się to sportem, ale jeśli tygrys zabija człowieka, nazywa się to okrucieństwem.

*George Bernard Shaw*

- Różnica między wielbłądem i człowiekiem – wielbłąd może pracować przez tydzień, nie pijąc; człowiek może przez tydzień pić, nie pracując.

*Julian Tuwim*



Projekt okładki: Piotr Augustynek

Kompozycja stron: Artur Koziół

Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: Antoni Pietryka, zasoby internetu



JACEK MALCZEWSKI, *Melancholia*